

Laura Anthony

Sobowtór narzeczonej

(Look-Alike Bride)

Przełożył Marek Zakrzewski

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Ojej! Twoja bliźniaczka zrywa zaręczyny!

– Co takiego? – Bonnie Bradford odepchnęła fotel od biurka. Siedziała w jednym z biur w centrum Fort Worth, gdzie dzieliła pokój z Paige Dutton. Niemal wyrwała jej z ręki tygodnik specjalizujący się w plotkach o sławnych osobistościach.

– Pokaż! Muszę przeczytać.

Szybko przebiegła wzrokiem ogromny tytuł: OSCAROWA GWIAZDA PRZEPĘDZA POTENCJALNEGO OBLUBIĘŃCA. Tuż pod nim znajdowała się fotografia młodej aktorki, Elisabeth Destiny.

Natrętni paparazzi zaskoczyli gwiazdę. Oczy miała szeroko otwarte, jej zwykle doskonale uczesane blond włosy – w identycznym odcieniu co włosy Bonnie – tym razem zwisały w smętnych strąkach. Aktorka miała też pogniecioną suknię.

Bonnie smutno westchnęła. Powróciła z fotelem na poprzednie miejsce i zaczęła czytać artykuł:

„Nie odbędzie się zapowiadany ślub jednej z najbardziej popularnych gwiazd Hollywood, Elisabeth Destiny, z wymarzonym kawalerem do wzięcia, multimilionerem Kurtem McNally’em. Głośny romans, określany związkami zapisanym w niebie, zakończył się, zanim jeszcze na dobre rozkwitł. Przyczyną są nie dające się jakoby pogodzić różnice charakteru, chociaż krążą liczne plotki na temat prawdziwych powodów zerwania. Podczas konferencji prasowej w Dallas, na początku tygodnia, Elisabeth Destiny napomknęła, że obecny trudny okres życia zamierza spędzić w absolutnym odosobnieniu. Nie udało nam się uzyskać komentarza pana McNally’ego...”

Artykuł był znacznie dłuższy, ale przeczytany fragment tak poruszył Bonnie, że ze złością złożyła pismo i oddała je przyjaciółce.

– Aż trudno uwierzyć – powiedziała. – Elisabeth i Kurt byli tacy szczęśliwi. Wystarczyło spojrzeć na ich zaręczynowe zdjęcia. I wcale nie wierzę w jakieś tam różnice charakteru nie do pogodzenia. Co się dzieje z ludźmi? Czy już nikt nie potrafi dotrzymywać obietnic?

– Zaczynam się o ciebie martwić, Bonnie – mruknęła Paige.

– Zachowujesz się tak, jakbyś ich osobiście знаła. Ja też lubię kino, ale nie daję się ponosić fantazji.

– To wcale nie jest fantazjowanie. W pewnym sensie bardzo dobrze ich znam. Widziałam wszystkie filmy Elisabeth. Mam kolekcję wycinków prasowych...

– Kolekcja wycinków! To obsesja. – Paige postukała się znacząco w czoło.

– To nie żadna obsesja – zaprotestowała Bonnie. – Jestem jej wielbicielką i jestem do niej podobna.

– Podobna!? Jesteś jej lustrzanym odbiciem – stwierdziła Paige, przypatrując się fotografii Destiny i zerkając na Bonnie.

– Może ona jest twoją zaginioną bliźniaczą siostrą. Może zgubiła się w szpitalu...

– Moja mama wiele razy przysięgała, że nie miałam siostry bliźniaczki. Niemniej coś mnie ciągnie do Elisabeth. Czuję jakąś więź, wspólnotę... – roześmiała się. – A poza tym uważam, że to wspinała aktorka...

Bonnie od dzieciństwa uwielbiała kino. Odkrywała tam nieznany jej świat, jakże inny od monotonnego i nudnego prowincjonalnego życia w domu, w którym reż wodziły trzy kobiety: matka i jej dwie niezamężne siostry, ciotki Bonnie. Poza tym, w ciemnej sali kinowej było ciepło, miło i bezpiecznie. Przypominała sobie zapach prażonej kukurydzy, kurzu z obić miękkich foteli i smak orzeszków ziemnych w czekoladzie. Tak, była miłośniczką kina, może i zwariowaną miłośniczką, ale nie zmienią tego żadne przycinki Paige. Tak już pozostanie.

– Pamiętam zaręczyny Elisabeth i Kurta – powiedziała Bonnie. – Oglądałam w telewizji przyjęcie urodzinowe w Planet Hollywood, w Dallas. Kurt McNally jest po prostu piękny. Ma sylwetkę taką, że aż dech zapiera. Stuprocentowy mężczyzna. Marzenie każdej kobiety. – Westchnęła. – I słyszałam, że jest bardzo miły...

– Widzę, że się w nim zakochałaś – zażartowała Paige.

– Wiem, że to okropnie głupie, ale ilekroć widzę jego fotografię, to nie mogę się powstrzymać, żeby nie pomyśleć, jakby to było w jego ramionach...

– Przystojniak to on jest – zgodziła się Paige, patrząc na zamieszczone obok fotografii Elisabeth Destiny zdjęcie Kurta. – Ale powiedz mi, moja droga, czy już nie czas wyrosnąć?

– Co też mogło poróżnić Elisabeth i Kurta? – zastanawiała się Bonnie. – Wydawali mi się parą z bajki.

– To dowodzi, że bajkopisarze fałszują rzeczywistość, dając szczęśliwe zakończenia.

– Ależ z ciebie cyniczka!

– Raczej realistka.

– A ja ciągle wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia i cud szczęśliwego życia do śmierci.

– Wierzysz w to, ponieważ nie byłaś jeszcze mężatką.

– Nie byłam, ale chętnie bym tego zakosztowała. – Był to dzień licznych westchnień Bonnie. – Gdybym tylko spotkała właściwego mężczyznę...

– Jak zamierzasz poznać właściwego czy choćby niewłaściwego mężczyznę, skoro nigdzie nie wychodzisz? Zamiast każdego wieczoru biegać do kina, powinnaś chodzić do jakiegoś miłego baru samotnych serc albo do klubu fitness. Nigdy nie przeżyjesz własnego romansu, gapiąc się na cudze w sali kinowej.

– Masz rację, ale... nie potrafię rozmawiać z mężczyznami. Ba, gdybym mogła być taka jak Elisabeth! Zawsze pewna siebie, elokwentna...

– Opowiadasz głupstwa. Elisabeth Destiny jest aktorką. Gra role i w kontaktach towarzyskich jest pewno nie mniej przerażona niż ty. Kiedy następnym razem staniesz oko w oko z mężczyzną, pomyśl sobie, że jesteś Elisabeth Destiny. Udawaj ją.

– I myślisz, że to mi pomoże...? – spytała niepewnie Bonnie.

– Oczywiście. Jesteś piękną kobietą. Byłabym szczęśliwa, mając choćby cząstkę twojej

urody. Dlaczego ukrywasz sylwetkę w niewydarzonych sukienkach i kostiumach, dlaczego nosisz okulary zamiast soczewek kontaktowych, dlaczego spinasz włosy do tyłu? Pokaż się ludziom taka, jaką naprawdę możesz być. Zacznij się ubierać jak Elisabeth Destiny. Zacznij być inna, a kijem nie opędzisz się od mężczyzn.

– Nie mam zamiaru odpędzać mężczyzn kijem – odparła ze śmiechem Bonnie, jednocześnie nieco się czerwieniąc. – Chcę mieć jednego jedyne, którego pokocham, za którego wyjdę i z którym będę miała dzieci.

– No, to chodź dziś ze mną i Kellym do „Fast Lane” – zaproponowała Paige.

– Dziś nie. – Bonnie nie znosiła hałaśliwych lokali, picia i mężczyzn prawiących komplementy w nadziei, że zwabią nimi kobietę do łóżka.

– Nigdy się nie zmienisz – burknęła Paige i cisnęła tygodnik do kosza. – Introwertyk pozostanie na zawsze introwertykiem.

– Nie wyrzucaj pisma – zaprotestowała Bonnie. – Chcę wszystko przeczytać. – Wyjęła z kosza ilustrowany magazyn i położyła na swoim biurku. Sama nie wiedziała, dlaczego jest jej tak smutno z powodu zerwania zaręczyn gwiazdy. – Szkoda, wielka szkoda, że zerwali – powiedziała głośno. – Żebyś mogła coś na to poradzić...

– Twój problem polega na tym, Bonnie, że masz zbyt dobre serce – zauważyła Paige. – Martwisz się za cały świat i stale chciałabyś go ratować. Więcej myśl o sobie i o robocie... – Spojrzała na zegarek. – Boże drogi, już piąta! Muszę lecieć. No więc co, idziesz ze mną?

– Napiszę jeszcze parę listów dla pana Briggsa. Idź, ja zostanę.

– No, to do zobaczenia w poniedziałek.

– Zapomniałaś, że mam dwa tygodnie urlopu? Czeka mnie robota w domu... Ogród, malowanie, porządki. No i pochodzę sobie do kina. Bardzo chcę zobaczyć ten nowy film. Jest to romantyczna komedia...

– Ale mi rozrywka. Tkwij sobie w swoim świecie fantazji, a życie przeleci ci koło nosa. – Paige zamknęła swoje biurko, wzięła torebkę i ruszyła do drzwi. – Jeśli zmienisz zamiar, to przyłącz się do nas w „Fast Lane”.

Bonnie zaczęła rozmyślać. Czy rzeczywiście jest taka zamknięta w sobie, źle się ubiera...? Spojrzała na workowatą sukienkę w kwiaty i skrzywiła usta. Niestety, nie należy do eleganckich kobiet. No cóż, nie lubiła zwracać na siebie uwagi.

Wolała raczej obserwować osiągnięcia innych. Miło jej było przebywać wśród ludzi pod warunkiem, że jest jedną z nich. Przedkładała pastelowe barwy nad krzykliwe kolory i domową kuchnię nad wykwintne restauracyjne dania.

W odróżnieniu od swojej „bliźniaczki”, Elisabeth Destiny, nienawidziła światła jupiterów. Unikała zwracania na siebie uwagi.

Jedynym marzeniem i celem życia Bonnie Bradford było mieć męża i dzieci. Ale czy kiedykolwiek spełni się to marzenie?

– Chyba nie, jeśli nie zaczniesz nosić minispódniczek i przebywać w lokalach, jak Paige – powiedziała głośno do siebie. Zakochać się w niej mógłby tylko ktoś, komu odpowiadałaby taka, jaka jest, a nie osoba, jaką chciałaby udawać... Czy znajdzie się taki mężczyzna?

Skończyła pracę o piątej trzydzieści. W biurze nie było już nikogo. Wstała od biurka, zabierając kolorowy tygodnik.

Myślami wróciła do Elisabeth Destiny. Na jej miejscu zrobiłaby wszystko, aby zatrzymać takiego narzeczonego jak Kurt. Mężczyznę przystojnego i dobrego. Biznesmena, który finansował budowę mieszkań dla bezdomnych i wspomagał badania nad AIDS. Z tego, co czytała o Kurcie McNally'm, wynikało, że jest to człowiek głęboko wierzący w świętość rodziny i rodzinne obowiązki. Dlaczego więc zerwał zaręczyny? Dlaczego się na to zgodził?

Zjechała windą na parter i wyszła z biurowca, w którym pracowała jako sekretarka w zespole adwokackim.

Rzedniejący tłumek na śródmiejskiej ulicy dzielnie opierał się ostrym podmuchom wiatru i bronił przed wirującymi śmieciami. Wzdłuż biurowca wzniesiono rusztowania, by naprawić uszkodzenia po niedawnej burzy gradowej. Bonnie szła w mrocznym korytarzu z cienkiej dykty, mającej chronić przechodniów przed odłamkami spadającymi z góry. Gdy przechodziła obok wozu technicznego, któryś z robotników zagwizdał. Spłonila się i przyspieszyła kroku. Stukot jej obcasów na prowizorycznym drewnianym chodniku roznosił się bardzo głośno. Pomyślała sobie, że oto jest ktoś, kto nie ocenia jej wyglądu tak źle jak Paige.

A może jednak Paige ma rację? Może powinna zacząć wyglądać i zachowywać się jak Elisabeth?

– Cześć, dziewczynko! – rzucił za nią robotnik.

Pobiegła przed siebie, mimo wszystko podniesiona na duchu tą męską atencją. Nie zdając sobie sprawy, dlaczego to robi, zdjęła okulary i schowała je do torebki. Jestem sobowtórem Elisabeth Destiny, pomyślała. Co się czuje, kiedy jest się aktorką?

Wiatr wiał coraz silniej. Nad szczytem ochronnego korytarza pod rusztowaniami zaskrzypiała niebezpiecznie deska. Bonnie nie zwróciła na to uwagi.

Doszła do rogu ulicy i postąpiła pierwszy krok poza rusztowanie.

– Niech pani uważa! – ostrzegł ją stojący nieopodal robotnik. Było już za późno.

Przekrzywiając głowę, Bonnie zerknęła w górę i zobaczyła rozchybotaną przez wiatr deskę, zwisającą na jednym gwoździu.

– Skoczyc w bok, skoczyc w bok! – krzyknął robotnik. Nim zdołała zebrać myśli, kolejny podmuch wiatru oderwał deskę, której koniec uderzył ją w głowę.

– No, jak tam, szefie? – spytał Hub.

– Bywało lepiej – odparł Kurt McNally. – Czy ci cholerni reporterzy nie mają nic lepszego do roboty niż węszyć wokół mojej farmy?

Hub Threadgill był zarządcą farmy i przyjacielem Kurta od czasów szkolnych. Miał ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i ważył prawie dziewięćdziesiąt kilogramów. Był modelowym teksańczykiem. Ponieważ natura obdarzyła go rubasznym humorem i niemal karykaturalnym akcentem Południa, przy pierwszym spotkaniu wielu nie doceniało go, a nawet lekceważyło. Ale nikt nigdy nie popełniał podobnego błędu po raz drugi.

– Skutki zadawania się z przebiegłą aktoreczką – oświadczył.

– Chcesz mnie dobić, Hub? – spytał Kurt.

– Nie należę do takich, co to stale powtarzają „a nie mówiłem”, ale przecież mówiłem ci nieraz, że ta Elisabeth Destiny to lepsza kombinatorka.

– Dopiekła mi – przyznał Kurt.

– Niby ja tego nie wiem...

– Jaja naprawdę kochałem...! Byłem pewien...

– To jest aktorka. Wszystkich omami.

– Ale nie ciebie.

– Tylko dlatego, że miałem za sobą gehennę z Lucindą. Lucinda była pierwszą żoną Huba i osobą sławną, od Hollywood po Teksas, z powodu wyczynów zwanych łózkowymi.

Kurt tylko pokiwał głową.

– Tak, tak. Po czymś takim człowiek czuje się, jakby muł kopnął go w zęby..

– Muł byłby litościwszy – mruknął Hub.

– Może i masz rację.

Kurt bezgranicznie ufał Hubowi. Wychowywali się razem w schronisku dla sierot, gdzie rodzice Huba byli nauczycielami, a Kurt porzuconym przez matkę dziesięciolatkiem. Gdyby nie Hub i Threadgillowie, Kurt wylądowałby z pewnością w więzieniu stanowym w Huntsville, zamiast zostać finansowym geniuszem ze skłonnością do akcji filantropijnych. Radowało go, gdy mógł się dzielić z mniej obdarowanymi przez los. Jedyłą jego słabością była miłość do niewielkiego trzyliktarowego rancza, które kupił w okolicach Weatherford.

Ranczo było jego samotnią. Miał zamiar osiedlić się tam na stałe, ożenić i wychowywać dzieci. Popenił błąd, myśląc, że jest blisko tego celu, gdy poznał w Dallas Elisabeth Destiny podczas dobroczynnej imprezy na rzecz polepszenia systemu opieki nad sierotami.

Elisabeth zdradziła go, oszukała! Zaufał tym jej niebieskim oczom, które go oczarowały i zniewoliły. Za ciepłym spojrzeniem i urokliwą fizjonomią nie spodziewał się kamienia i lodu.

Otrzymał bolesną nauczkę. Już nigdy nie pozwoli, by serce dyktowało głowie.

– Dlaczego ci przekłęci reporterzy nie polecili za nią – mruknął pod nosem, spacerując po gabinecie na tyłach domu. – Ona jest gwiazdą, a nie ja.

– Niezupełnie. Ty też jesteś sławą. Tygodnik „Texas Today” przedstawił cię jako jednego z najlepszych kawalerów do wzięcia w Stanach Zjednoczonych. Określono cię jako kawalera roku. Dla prasy wart jesteś co najmniej setki aktoreczek. Wiesz co? – ciągnął Hub. – Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy wykorzystać to twoje małżeńskie fiasko. Tak, posłużymy się prasą, by zareklamować nasze najnowsze zamierzenia. Niech ci reporterzy ujawnią twoje plany dotyczące uczestnictwa w programie o ochronie środowiska i telefonu na rzecz badań nad AIDS. A jeśli masz ochotę na zemstę, to na zakończenie dorzucisz parę informacji na temat prawdziwych powodów zerwania z Elisabeth... Uważam, że byłeś zbyt łaskawy, pozwalając jej stwierdzić, że zerwanie to jej decyzja.

– Masz rację, ale co mogłem zrobić? Nie lubię publicznego prania brudów.

– Wiem, wiem.

– Więc niech zostanie, jak jest, Hub. Wkrótce wszyscy o tym zapomną i będę miał spokój. – Kurt podszedł do okna i wyjrzał w kierunku bramy. Jęknął, widząc wyraźnie rosnący tłum reporterów.

– Jeszcze raz ci radzę: nie zwlekaj. Pogadaj z nimi – radził Hub. – Sprawa się nie rozmyje i nie pójdzie w zapomnienie, jak naiwnie przypuszczasz. Wcześniej czy później będziesz musiał rozmawiać z prasą. Lepiej wcześniej, żebyś jak najszybciej mógł wrócić do normalnego życia.

– Znowu masz rację. Niech będzie. – Kurt z rezygnacją wzruszył ramionami i ruszył w kierunku drzwi.

– Niech się pani trzyma, wezwałem karetkę. Wszystko będzie dobrze – pocieszał robotnik.

Bonnie cichutko jęczała. Gdy otworzyła oczy, zobaczyła pochyloną nad sobą niewyraźną sylwetkę w niebieskim roboczym kombinezonie. Czuła zimny cement płyt chodnikowych. Z trudem podniosła rękę.

– Lepiej niech się pani nie rusza – poradził mężczyzna w kombinezonie. – Doznała pani kontuzji.

– Jakiej kontuzji? Co się stało? – wyszeptła i dłonią dotknęła skroni. Poczowała na palcach coś lepkiego i kiedy spojrzała na dłoń, zobaczyła krew.

– Oderwała się deska – tłumaczył mężczyzna. – Już chyba pięć minut temu...

Widziała otaczających ją ludzi. Stali jednak w przyzwoitej odległości. Przyglądali się ciekawie. Usiłowała zebrać myśli, ale nie potrafiła sobie przypomnieć dokąd szła ani co robiła. Nic nie pamiętała.

Karetka była już niedaleko, gdyż usłyszała sygnał. Próbowwała usiąść, ale wszystko wokół zawirowało. Poczowała straszliwy lęk przed czymś, co ją czeka. Jednak nie wiedziała, co to może być.

Mężczyzna w kombinezonie podpierał ją.

– Gdzie moja torebka? – spytała.

– O, do licha, torebka! Czy ktoś z państwa widział torebkę tej pani? – zwrócił się do gapiów.

– Jakiś szczeniak ją podniósł. Już go tu nie ma – poinformował młody mężczyzna.

Przecież muszę mieć torebkę, żeby się dowiedzieć, kim jestem, pomyślała Bonnie. Boże, jak ja się nazywam? W torebce mam prawo jazdy. Poczowała, że słabnie.

– Niech się pani położy – nalegał robotnik. – Nie wygląda pani dobrze.

– Ale mnie jest potrzebna torebka! – upierała się. – Muszę ją mieć...!

– Torebka przypadła. Może policja ją odzyska. Niech się pani położy.

– Muszę mieć torebkę.

– Jest już karetka – powiedział robotnik i odstepił o krok.

Podszedł lekarz w białym fartuchu. Po stwierdzeniu, że kość czaszki nie jest uszkodzona, zapytał Bonnie, nieustannie powtarzając słowo „torebka”:

– Jaki dziś jest dzień?

– Co, co? – Bonnie patrzyła nieprzytomnymi oczami.

– Niech mi pani powie, jaki mamy dzień tygodnia.

– Nie wiem – odparła.

– A gdzie jesteśmy? – pytał lekarz.

Pokręciła głową.

– W jakim mieście?

– Nie wiem, nie wiem, nic nie wiem...!

– Spokojnie, niech się pani nie denerwuje. Wszystko będzie w porządku. Często tak bywa po uderzeniu w głowę. A oberwała pani nieźle. Ale pamięć wróci. Teraz z Ralphem położymy panią na noszach, panno... Jak się pani nazywa?

Podczas gdy Bonnie szukała w pamięci, lekarz zwrócił się do gapiów:

– Czy może ktoś zna tę panią?

– Boże drogi! – wykrzyknęła jakaś korpulentna kobieta. – Przecież to chyba Elisabeth Destiny, ta aktorka...!

– To moja była narzeczona – warknął Kurt McNally do słuchawki.

– I całe szczęście, że była, a nie jest – rzucił Hub z kanapy w głębi gabinetu.

Kurt zmarszczył brwi i gestem dłoni nakazał przyjacielowi milczenie.

– Prosiła mnie, żebym do pana zadzwonił – oświadczył sucho lekarz telefonujący ze szpitala.

– Mnie absolutnie nic nie obchodzi, o co prosiła – odparł stanowczo Kurt. Niech sobie szanowny pan doktor radzi z nią, jak potrafi. A nie będzie to łatwe. Jak tylko Elisabeth pokaże swe prawdziwe oblicze, doktorek natychmiast zmieni ton. Elisabeth Destiny. Idealny pierwowzór doktora Jekylla i pana Hyde'a. – Mam po dziurki w nosie panny Destiny i jej podobnych. Czy pan rozumiał? Jeśli jest jej potrzebny ktoś, kto by ją trzymał za rękę, to niech pan zadzwoni do Granta Lewisa.

– Pańska narzeczona doznała poważnej kontuzji. Silne uderzenie w głowę... r Doktor nie rezygnował.

Kurt poskrobał się po karku. Nagle zrobiło mu się żal kobiety, którą kiedyś kochał.

– Czego pan ode mnie oczekuje? – zapytał ostrożnie. – Chyba nie pokrycia rachunku. Ona ma swoje pieniądze.

– Pańska narzeczona cierpi na całkowity zanik pamięci. Amnezja powypadkowa. Pamięta tylko pańskie nazwisko i swoje. I mówi mi, że bardzo wiele pan dla niej znaczy, panie McNally.

Ostatnie słowa zdumiały Kurta. Czy to możliwe? Czy możliwe, by podświadomie Elisabeth naprawdę go kochała?

– Więc czego ona chce? Żebym do niej przyjechał?

– Jestem pewien, że właśnie tego chce – przyznał lekarz.

– Niby po co?

– Jest przerażona, panie McNally. Nie potrafi nawet powiedzieć, w jakim mieście

mieszka. Potrzebny jest jej ktoś bliski. Zatrzymamy ją tutaj na noc na obserwację, ale jutro musimy odesłać do domu. Potrzebna jej będzie opieka i ktoś, kto pomoże jej odzyskać pamięć.

– Elisabeth nie ma rodziny. Niestety, nie mogę panu służyć żadnymi informacjami, doktorze – odparł Kurt. – Mogę natomiast podać adres jej agenta. A w ogóle, co ona robiła w Fort Worth?

– Panie McNally, pański stosunek do sprawy i zachowanie uważam za oburzające – oświadczył lekarz. – Moim zdaniem nie wolno panu wykręcać się od udziału w terapii, bez której nie ma mowy o cofnięciu skutków amnezji. Czasowa może przekształcić się w trwałą.

Kurt McNally odgrodził się od wspomnień o Elisabeth, od całej związanej z nią przeszłości, i chciał, aby tak zostało.

– Drogi panie doktorze, panna Destiny nie miała pojęcia, kim jest, jeszcze zanim oberwała w głowę. A teraz po prostu udaje, żeby wciągnąć mnie w jakąś historię, z której trudno byłoby mi się wyplątać. Niech pan jej powie, że przestałem grać rolę głupca. Panna Destiny dokonała wyboru, kiedy wpakowała się do łóżka mojego współnika.

– Zapewniam pana, panie McNally, że obrażenia panny Elisabeth Destiny są naprawdę poważne. To żadne udawanie. Cierpi na amnezję traumatyczną i może nie odzyskać pamięci. A więc jak, panie McNally? Zjawi się pan tu, czy mam powiedzieć, że pan odmawia?

ROZDZIAŁ DRUGI

– Daj mi w szczękę, Hub. Zwariowałem – powiedział Kurt.

– Wolę nie ryzykować, bo ty prowadzisz – odparł siedzący obok niego Hub. – Ale chętnie to zrobię, jak tylko zatrzymasz wóz. Nie mogę uwierzyć, że to robisz.

– Nazwij mnie, jak chcesz. Głupkiem, naiwniakiem, nawet kretynek, ale nie potrafię nie pomóc komuś w potrzebie. Nawet jeśli tym kimś jest panna Destiny. Dzięki, że jedziesz ze mną. Za żadną cenę nie chcę być z nią sam.

– Wcale ci się nie dziwię.

– Przez cały wieczór i noc męczyła się, nie wiedząc, czy się pojawię.

– Możesz być pewny, że zrobi z ciebie głupca. Wiem to, jestem absolutnie pewny.

– Jeśli się zorientuję, że to jeden z jej reklamowych chwytów... – Kurt nie dokończył. Zastanawiało go, skąd lekarz wiedział, że to naprawdę amnezja. Elisabeth bezbłędnie potrafiła grać swoje role. Akademia Filmowa nie rozdaje przecież Oscarów za darmo.

– Nie zgrzytaj zębami, szefie. Nawet silnik i szum powietrza nie potrafią tego zagłuszyć – mruknął Hub. – Całe szczęście, że szybko zerwałeś zaręczyny. Inaczej miałbyś zęby starte do korzeni przed czterdziestymi urodzinami.

– A ja myślałem, że nigdy nie będę musiał oglądać jej z bliska... – zakończył Kurt i między przyjaciółmi zapadło milczenie.

Gdy Kurt McNally wszedł do szpitalnego pokoju, Bonnie doznała olśnienia: oto mężczyzna, którego szukała przez całe życie.

Wystarczyło jej jedno spojrzenie, by stwierdzić, że widzi pokrewną duszę i własną lepszą połowę. Yang dla jej yin. Przez ułamek sekundy poczuła się bezpieczna, jakby była w domu. Złe spojrzenie Kurta świadczyło jednak, że wcale nie jest mile widziana.

Siedziała w łóżku, na szczęście obłożona poduszkami. Gdyby stała, z pewnością by zemdląca.

Nie miała wątpliwości, że zna tego mężczyznę, chociaż wcale nie wiedziała, kim on jest. Ale doskonale znała rysy tego człowieka – opaloną cerę i włosy barwy ciemnego miodu, usta zapowiadające gorące pocałunki, obezwładniające ciało i duszę.

Kurt miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, szerokie bary i masywną klatkę piersiową. Obcisłe dzinsy uwydatniały smukłe nogi i kształtne uda.

Powiedziano jej, że w pobliżu miejsca, gdzie upadła, uderzona deską, znaleziono tygodnik poświęcony plotkom o znanych ludziach. Od kilku godzin nie mogła spać i nie mając nic lepszego do roboty, przeglądała pełne sensacji i plotek pismo, z niedowierzaniem przyglądając się własnej podobiznie na okładce. Na drugiej stronie znalazła też fotografię Kurta, na której wyglądał na niezadowolonego.

Bonnie posmutniała, przeczytawszy, że zerwała z nim zaręczyny. Dlaczego to zrobiła? A może to Kurt chciał?

Trudno jej było sobie wyobrazić, by jakkolwiek kobieta o zdrowych zmysłach

zrezygnowała z mężczyzny, który teraz stał przy jej łóżku. Wyraźnie zniecierpliwiony zaczął ją obchodzić szybkim, zwinnym, choć zdecydowanie ostrożnym krokiem. Krokiem zwierzęcia, które instynktownie boi się nie znanej mu sytuacji. Była tak zafascynowana tym mężczyzną, że niemal nie dostrzegła drugiego olbrzyma, który też wszedł do pokoju i stał oparty o framugę drzwi.

– Jestem Elisabeth Destiny – przedstawiła się. – Czy ja pana znam? – spytała olbrzyma.

– Dobrze mnie pani zna. Jestem Hub Threadgill.

– Hub Threadgill, Hub Threadgill... – powtórzyła cicho parę razy, jakby wypróbowywała na języku smak nazwiska. Pokręciła głową. Przecież nigdy w życiu nie widziała tego człowieka. – Nie przypominam sobie pana, Hub...

– Piękna bajeczka, Elisabeth – mruknął Hub. Podeszedł i usiadł na krześle stojącym w nogach łóżka.

– Elisabeth to brzmi strasznie... sztywno... formalnie – powiedziała Bonnie. – Może lepiej zabrzmiał Beth?

– Osiągasz szczyty, Elisabeth. Twoja sztuka aktorska mnie oszalała. Nie masz sobie równej – wyrzucił z siebie Kurt.

– Moje gratulacje!

– Co takiego? – Szeroko otworzyła oczy. Dlaczego Kurt zachowuje się wrogo? Oj, będzie musiała wiele naprawić i zmienić swe postępowanie, jeśli ma zamiar uratować ich wzajemne stosunki.

– Doskonale wiem, o co ci chodzi, Elisabeth – powiedział Kurt, podchodząc do łóżka i stając niemal nad głową Bonnie.

– Dobrze wiem. Ale to ci się nie uda. Nie omamisz mnie. Skończ ten spektakl. Na amnezję mnie nie nabierzesz.

Zamrugnęła kilka razy, czując łzy pod powiekami. Właściwie to chciało jej się płakać od chwili odzyskania przytomności po wypadku. Przez cały czas czuła się zagubiona i śmiertelnie przerażona, a jedyny człowiek, którego zapamiętała z dawnego życia, traktował ją z lodowatą pogardą.

– Ja nie udaję – szepnęła.

– Tak, tak, a papież przechodzi na protestantyzm.

– Nie musisz być taki... niedobry. – Zadrgała jej dolna warga i łzy zaczęły spływać po policzkach.

Kurt nie wierzył własnym oczom. Twarz mu poczerwieniała, na szyi wystąpiły mu żyły.

– Ja jestem niedobry? – niemal ryknął. – Ty natomiast jesteś dobra, grając na moich uczuciach i wślizgując się do obcych łóżek?

Zabolało ją serce, jakby dźgnięte nożem. Kurt ją nienawidzi! Co zrobiła, by zasłużyć na podobne traktowanie?

– Ja nic sobie nie przypominam – powiedziała. – Ilekroć usiłuję się skupić, mam chaos w głowie. I gdyby nie to pismo... – palcem postukała w tygodnik – to nie wiedziałabym, kim jestem.

– Nic sobie nie przypominasz?

– Zupełnie nic.

Kurt zamyślił się, świdrując wzrokiem swoją byłą narzeczoną. Coś tu nie pasowało. Elisabeth była jakaś inna. Nie tylko inna z powodu bandaża na blond włosach. Miała jakby pełniejszą sylwetkę. Pełniejszą niż przed sześcioma tygodniami, kiedy widział ją po raz ostatni. Poza tym... wydawała mu się teraz ładniejsza.

Właściwie po raz pierwszy widział ją nie umalowaną. Dostrzegał urodę, która chwytала za serce.

Hola, hola! To jest Elisabeth Destiny! Pilnuj się! Nie daj się po raz wtóry opętać!

– Ponownie poddałaś się operacji plastycznej? – spytał zimnym głosem.

– Operacji plastycznej?! – Zdziwiona przeciągnęła dłonią po twarzy.

– Nos masz mniejszy, ciekawszy... – Przekręcił głowę, bacznie się jej przyglądając.

– Może i mia... łam – wyjąkała. – Nie przypominam sobie. Czy poprzednio miałam operacje plastyczne?

– Z tego, co wiem, nie podobały ci się piersi. Zaniepokojona Bonnie opuściła wzrok na piersi.

Pełen podejrzeń Kurt pochylił się nad Elisabeth. Wydawało mu się, że i pachniała inaczej, truskawkami z kremem. Podobał mu się ten wspaniały „domowy” zapach, jakże odmienny od egzotycznych perfum, jakimi zawsze się oblewała. Aż trudno było mu uwierzyć, że czuje do Elisabeth fizyczny pociąg większy niż kiedykolwiek przedtem. Czuł, że coraz bardziej jest podniecony.

– Może mi wreszcie powiesz, co to wszystko ma znaczyć, Elisabeth? Nowy pomysł twojego agenta od reklamy?

Wydawała się oburzona tą sugestią. Musiał przyznać, że świetnie gra swoją rolę.

– Nie potrzebuję reklamy. I bardzo cię proszę, mów do mnie Beth.

– Przecież mi zakazałaś! Powiedziałaś kiedyś, że to dobre dla dojarki.

– Zmieniłam zdanie.

Prześwidrował ją ostrym spojrzeniem. Ze zdziwieniem stwierdził, że jej oczy wydają się bardziej niebieskie niż te, które sobie przypominał. I skąd wzięły się piegi na nosie? Elisabeth zawsze unikała słońca, a teraz jest opalona...

– A więc o co ci chodzi, jeśli nie chodzi o pieniądze? – spytał.

– Chcę uratować nasze małżeństwo – odparła szczerze zdziwiona pytaniem.

Kurt wybuchnął śmiechem tak zjadliwym, że Bonnie zadygotała.

– Czy ty to słyszysz, Hub? Elisabeth mówi o małżeństwie! Dawno nie słyszałem lepszego dowcipu.

– Dlaczego dowcipu? Ja wcale nie żartowałam.

– Pozwolisz, że sobie coś raz na zawsze wyjaśnimy? Może masz amnezję, a może udajesz. Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Jedno jest jednak tak pewne jak to, że po nocy przychodzi dzień: ty i ja nigdy się nie pobierzemy. Nigdy! Zrozumiałaś? I nigdy nie spędzimy nawet pięciu minut sam na sam. Chyba postawiłem sprawę jasno?

Bonnie osunęła się na poduszki. Jeśli Kurt jej nie chce, to co ona teraz zrobi, dokąd pójdzie? Nic nie pamiętała z własnej przeszłości. Nie wiedziała nawet, gdzie mieszka. Nie wiedziała, jak dotrzeć do własnych pieniędzy. W wypadku straciła torebkę, nie miała co na siebie włożyć, poza tą jedną prostą sukieneczką, w jakiej ją tu przywieziono. I skąd się wzięła w Fort Worth?

– Tak się boję, Kurt – wyszeptała.

– Ty miałabyś się bać? Nie wierzę – odparł. – Elisabeth Destiny jest za pan brat z samym diabłem.

– Nic nie wiem, mam pustkę w głowie. Nawet nie wiem, jaką ci wyrządziłam krzywdę. Musiało to być coś okropnego, skoro mnie tak nienawidzisz...

– Tak, to było coś okropnego. Oboje robiliśmy sobie okropne rzeczy...

– Co takiego? – Hub był wyraźnie poruszony. – Co ty bredzisz, Kurt? Ty nie zrobiłeś jej nic okropnego. Mów jej prawdę.

– Ja chcę znać prawdę, Kurt – powiedziała Bonnie. – Dlaczego zerwaliśmy zaręczyny?

Kurt poczuł nagły przyływ litości, widząc, jak Elisabeth jest nieszczęśliwa.

Natychmiast skarcił się w myślach: nie daj się podejść! To wszystko jest aktorską grą. Popuścisz, a ona po raz wtóry złamie ci serce.

A jeśli rzeczywiście dotknęła ją amnezja i w jej wyniku Elisabeth okaże się skruszoną grzesznicą? Ta myśl niesłychanie go podnieciła, gdyż bez względu na krzywdę, jaką mu wyrządziła, nadal może nie tyle ją kochał, co czuł do niej przedziwny pociąg. I stale odczuwał pragnienie posiadania u swego boku pełnej wyrozumiałości kobiety, jaką zawsze pragnął poślubić i jaką Elisabeth z początku mu się wydawała.

Pukanie do otwartych drzwi kazało im spojrzeć na siwowłosego mężczyznę w białym fartuchu, stojącego na progu.

– Jestem doktor Freely – przedstawił się. Wszedł do pokoju i podał rękę Kurtowi.

– Kurt McNally.

– Cieszę się, że zdecydował się pan odwiedzić narzeczoną. Spodziewaliśmy się pana wczoraj wieczorem.

– Jestem bardzo zajęty. Nie mogę wszystkiego rzucić i biec na wezwanie. – Kurtowi bardzo się nie podobało zachowanie lekarza, którego Elisabeth musiała z miejsca oczarować i owinać wokół palca, jak czyniła to z każdym.

– Czy możemy porozmawiać na osobności, panie McNally?

– spytał doktor Freely.

– Jeśli to konieczne. – Kurt włożył ręce w kieszenie i wyszedł za lekarzem na korytarz.

– Pańska narzeczoną doznała poważnego wstrząsu, panie McNally – zaczął doktor, gdy odeszli na tyle daleko, by nie mogła ich usłyszeć. – Straciła nie tylko pamięć, ale świadomość swojej tożsamości. W czasie wypadku jakiś złodziej skradł jej torebkę i w tej chwili czuje się zawieszona w próżni. Uważa, że świat ją porzucił.

– Bajdy! – odparł krótko Kurt.

– Pozwoli pan, że mu wyjaśnię, na czym polega amnezja – ciągnął doktor nie wzruszony

ostrym potraktowaniem go przez rozmówcę. – Jej cechą charakterystyczną jest to, iż może być permanentna, a zawsze jest katorgą dla pacjenta. Pański stosunek do sprawy jeszcze pogarsza sytuację...

– Chwileczkę, chwileczkę, doktorze. Pan wydaje się nie rozumieć podstawowego problemu. Moja była narzeczona jest aktorką, gotową uczynić wszystko, by osiągnąć cel. I w razie potrzeby jest gotowa udawać amnezję.

– Wiem dokładnie, kim jest pańska narzeczona. I zapewniam, że nie udaje. Była badana przez dwóch neurologów. Cierpi na posttraumatyczną amnezję. Nic nie pamięta z przeszłości. To, że rozpoznała pana, graniczy z cudem.

Zapamiętała tylko jego! Kurt poczuł smutek, żal i coś jeszcze...

– Nie pamiętała nawet własnego nazwiska – tłumaczył lekarz. – My jej powiedzieliśmy, kim jest. Nie wie, gdzie mieszka, nie wie, skąd się tu wzięła, co robiła przed wypadkiem i co jadła na ostatni posiłek, ale pozostały jej kieszonki pamięci. Wie na przykład, że astronauta to jest ktoś, kto podróżuje w kosmosie, że chleb kupuje się w piekarni.

– I co ja mam do tego? Co mogę poradzić?

– Pańskie mało inteligentne pytanie zapiszę na konto stresu – odparł bezlitośnie lekarz. – Ja jej nie wyleczę, panie McNally. Uraz mózgu to skomplikowana i trudna sprawa. Pannie Destiny potrzebny jest czas i troskliwa opieka ludzi, którzy ją kochają.

– Trzeba obstawić ją lustrami. Ona bardzo kocha siebie. Szybko wyzdrowieje. – Kurt też był bezlitosny.

– Więc pan uważa, że ona pana nie kocha? – spytał z wyraźnym sarkazmem doktor Freely.

– Nienawidzi mnie.

– Miłość i nienawiść to bliźniacze uczucia – zauważył filozoficznie doktor.

– Niech pan wezwie jej agenta. Nazywa się Howie Jerrell. Ma praktykę w zbieraniu rozbitych przez Elisabeth wazonów i talerzy.

– Dzwoniliśmy do niego – odparł doktor. – Powiedział mi, że w zeszłym tygodniu wyrzuciła go i że jest z tego powodu niezmiernie szczęśliwy. No cóż! Wracając do naszej pacjentki, przeprowadziliśmy wszystkie badania. Funkcjonowanie mózgu jest normalne. Zwalniamy ją dziś ze szpitala. Nic więcej nie możemy dla niej zrobić. Natomiast pan może bardzo wiele. Zabrać ją na kilka tygodni...

– Moje zobowiązania wobec niej ustały. Nie jesteśmy zaręczeni.

– Ona już nie jest tą, którą była... – dodał doktor. – Zwracam się do pana jako lekarz: niech jej pan nie opuszcza w tej fazie rekonwalescencji. Niech pan to potraktuje jako ratowanie, tonącej istoty ludzkiej. Ona naprawdę tonie. Niech pan to zrobi i w imię tego, co nigdyś do niej czuł.

Kurt poczuł się jak człowiek przed plutonem egzekucyjnym. Musi wybierać: rozstrzelanie albo...

– Nie jestem nawet pewien, czy ona będzie chciała opuścić szpital w moim towarzystwie... – wydusił z siebie z wahaniem. Był przerażony, że wszystkie jego

postanowienia diabli biorą.

– Niech pan ją spyta – poradził doktor.

– Dobrze, spytam – mruknął Kurt. – Ale prosić nie będę. Jeśli powie nie, to nie.

Skąd ona się wzięła w Fort Worth? – zadawał sobie po raz setny pytanie.

Bonnie wykorzystwała nieobecność Kurta, by powtórnie poznać Huba i być może poszperać przy okazji w przeszłości.

– Przykro mi, jeśli kiedykolwiek sprawiłam panu przykrość j– zaczęła niepewnie.

– Dotknęła mnie pani do żywego, traktując tak Kurta – odparł ponuro. – Złamała mu pani serce. – Niech będzie to „pan” i „pani”, pomyślał, skoro ona tak chce.

– Nic sobie nie przypominam...

– Bardzo wygodnie.

– Ja nie udaję. – Zaczerwieniła się. – Dobrze panią znam. Świetna z pani aktorka. Stałem obok i widziałem, jak pani mamie wszystkim słodkim głosikiem. Więcej na to nie pozwolę. Przysięgam sobie, że nie. Przejrzę każdą kombinację...

– Nic nie kombinuję! Nie zamierzam urazić Kurta. Czuję się teraz zupełnie kimś innym.

– Od kiedyż to?

– Chyba od wypadku.

– Ja tylko ostrzegam. Nie pozwolę na ponowne zranienie przyjaciela. Zniszczę panią.

Do pokoju wrócił Kurt. Bonnie przeniosła wzrok na niego. Coś w niej drgnęło. Jakieś głębokie uczucie, którego nie potrafiła zdefiniować. Ten mężczyzna przedziwnie na nią działał. Miała ochotę okazać to, co czuje, zarzucając mu ręce na szyję, wpijając się w jego usta... Co ona wyrabia? Przeraziły ją własne myśli.

Założywszy ręce na piersiach, Kurt stał przez chwilę oparty o ścianę. Potem głęboko westchnął i powiedział:

– Doktor zamierza wypisać cię ze szpitala. Oczywiście masz gdzie się udać?

– Gdybym nawet miała, to nie wiedziałabym, jak się tam dostać.

– Ha... hmm... no to... może chciałabyś na kilka dni pojechać z nami na ranczo, żeby zebrać myśli i zaplanować, co zamierzasz robić dalej?

– Zwariowałaś, szefie?! – wykrzyknął Hub i otwartą dłonią klepnął się w czoło. – Ja nie chcę z tym mieć nic wspólnego! Stanowczo odmawiam.

– Ona nie ma się dokąd udać – wyjaśnił Kurt. – No i co, chcesz? – zwrócił się znowu do Bonnie.

– Tylko jeśli to nie wywoła konfliktu między tobą a panem Hubem.

– A jednak zamierza pani wywoływać nowe konflikty, panno Destiny? – zapytał zaczepnie Hub.

– Wiem, że nienawidzisz rancza – wtrącił Kurt. – Proponuję ci jednak rekonwalescencję. Nie chcesz, to nie. Wynajmę ci pokój w hotelu i kupię bilet na powrót do Kalifornii...

Przeraziła się. Za żadne skarby nie pozwoli, by ją w ten sposób porzucił. Tylko jemu ufała. Przeraziła ją myśl o powrocie do Kalifornii i znalezieniu się wśród ludzi, których nie pamiętała.

- Aleja chętnie pojedę z tobą na ranczo! – oświadczyła.
- Ona pamięta ranczo. Ona udaje! – Hub zerwał się z krzesła.
- Nie pamiętam żadnego rancza. Pierwszy raz o nim słyszę.
- Daj spokój, Hub. To nie czas i miejsce – powiedział Kurt.
- Doskonały czas i doskonałe miejsce, żeby cię ocalić przed katastrofą.
- Czy nie widzisz, że ona jest teraz zupełnie inna?
- Upadłeś na głowę, szefie. Nie ona, a ty. Kupujesz te bzdury o jakiejś amnezji. To jest aktorka i teraz gra.

– Doktor Freely zapewnia, że ona ma amnezję. – Kurt McNally wzruszył ramionami, obrócił się tyłem do Huba i podszedł do łóżka. – Zapamiętaj jedno, Elisabeth: między nami wszystko skończone. Jesteś osobą chorą i chcę ci pomóc stanąć na nogi.

– Dziękuję – wyszeptała. – Doceniam to, co robisz.

– Ubieraj się teraz. Idziemy z Hubem wypisać cię ze szpitala. Bonnie usiadła na łóżku i dopiero po chwili spuściła nogi na podłogę. Bolała ją głowa. Czuła się niepewnie. Chwyliła głęboki oddech i postanowiła chwilę zastanowić się nad sobą. Bardzo szybko doszła do wniosku, że w przeszłości należała do kategorii tak zwanych wrednych kobiet. Westchnęła. Tak. Elisabeth Destiny musiała być wredna. I nieszczęśliwa. Opinie o niej bliskich osób nie były zachęcające.

Usłyszała pukanie do drzwi. Po chwili weszła do pokoju młoda pielęgniarka. Niosła magazyn filmowy i pióro. Rozglądając się podeszła do łóżka.

– Właściwie to mi nie wolno... – wyjąkała – ... ale tak bym chciała mieć pani autograf, panno Destiny...

Bonnie przez chwilę zastanawiała się, czego pielęgniarka chce. Autograf? Aha, podpis... Uśmiechnęła się do dziewczyny.

– Oczywiście, moja droga. – Szybko podpisała się „Elisabeth Destiny” pod fotografią na okładce i zwróciła pismo rozpromienionej pielęgniarence.

– Dziękuję, bardzo dziękuję! Moje przyjaciółki nie będą chciały uwierzyć...! Jestem pani fanką. Chodzę na wszystkie pani filmy...

– Bardzo mi miło – odparła.

Pielęgniarka wyszła, a Bonnie wstała i powędrowała do łazienki, żeby przebrać się ze szpitalnego szlafroka w swoją wygniecioną sukienkę.

Myślała o pożegnanej przed chwilą pielęgniarence, która była taka szczęśliwa po otrzymaniu autografu. Przecież i Elisabeth Destiny powinna być wniebowzięta, że ma fanów. Wniebowzięta i szczęśliwa. A tymczasem wyłania się obraz bardzo nieprzyjemny... Teraz będzie jej świętym obowiązkiem wszystko naprawić. Oto jest okazja zbudowania nowego wizerunku Elisabeth Destiny. Postarać się, by ją pokochali ci wszyscy, którzy ją znają i dotąd nienawidzili. A przede wszystkim, żeby ją kochał ten jeden mężczyzna...

Musiałaś być złą kobietą, Elisabeth, skarciła się. W przyszłości będziesz lepsza.

ROZDZIAŁ TRZECI

Jazda na ranczo była bardzo trudna zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie. Kiedy wreszcie zjechali z asfaltowej szosy na szutrową drogę dojazdową do posiadłości Kurta, Bonnie była u kresu wytrzymałości. Przede wszystkim okropnie bolała ją głowa. Miała także kłopoty ze wzrokiem. Widziała wszystko jakby przez mgłę. Czyżby nosiła szkła kontaktowe? Na żadnym zdjęciu Elisabeth Destiny nie widziała aktorki w okularach, Siedziała z przodu, obok Kurta. Hub zajmował miejsce z tyłu. Przez pięćdziesiąt kilometrów żadne z nich się nie odezwało. Obaj, Kurt i Hub, zachowywali się tak, jakby nie istniała. A ona i siedziała bez ruchu i od czasu do czasu po policzku spływała jej łza, którą ocierała grzbietem dłoni, bardzo sama sobie współczując.

– Poznajesz jezioro? – spytał ją wreszcie Kurt, wskazując głową niewielkie lustro wody obrośnięte płaczącymi wierzbami.

– Nie poznaję. Pierwszy raz to widzę – odparła.

– Oświadczyłem ci się właśnie nad tym jeziorem.

– Ooo? – Cóż więcej mogła powiedzieć.

– Powiedziałaś wtedy, że też mnie kochasz. To był najszcześniejszy dzień mojego życia... Ale byłem głupcem...

– Nigdy nie pomyślałabym nic podobnego o tobie – odparła miękko. – Sama nie wiem, jak... Nic nie wiem...

– Ty chyba naprawdę straciłaś pamięć. Zaczynam ci wierzyć. Doktor Freely powiedział mi, że jesteś zupełnie kimś innym. Chyba miał rację. A jeśli udajesz, to jest to twoja życiowa rola.

– Ja nie udaję... Jak mam cię przekonać?!

Kurt wzruszył ramionami, a Hub na tylnym siedzeniu głośno prychnął.

– Widzę, że będę musiała wielu rzeczy dowieść... – Obróciła głowę w kierunku Huba, który natychmiast zapytał:

– A co będzie, kiedy ona odzyska pamięć, szefie? Znowu wylizie na wierzch czort?

– Pan mnie bardzo nie lubi – stwierdziła.

– Mądra dziewczynka. Trafiła w dziesiątkę – odparł Hub.

Bonnie powróciła do obserwowania to drogi, to Kurta zmieniającego sprawnie biegi na krętej drodze. Widząc silne palce zaciśnięte na gałce drażka, pomyślała, że te palce kiedyś ją pieściły i że musiało to być cudowne. Ciarki przebiegły jej po plecach! Czy jeszcze kiedyś Kurt będzie ją pieścił, całował i kochał się z nią? Bo w przeszłości z pewnością to robił, chociaż nic nie pamiętała. Ale tęskniła za tym i jednocześnie ogarnął ją lęk, że straciła coś niesłychanie cennego. Może, jeśli będzie bardzo się starać, odzyska miłość siedzącego obok niej mężczyzny, z którym zerwanie było jej największym błędem.

Samochód pokonał wzniesienie i zaczął zjeżdżać w dolinkę. W środku wznosił się biały budynek w stylu wiktoriańskim – prześliczna willa otoczona gęstwiną krzewów i ogrodzona

schłudnym białym płótem.

– Boże, jakie to cudowne! – wykrzyknęła Bonnie, pełną piersią wdychając powietrze o brzoskwińowym aromacie. – I ten zapach...!

– Na początku tygodnia zaczynamy zbiory, a w przyszłą sobotę odbywa się doroczny festiwal brzoskwiń.

– Czy będę mogła pomagać przy zrywaniu brzoskwiń? – spytała. Kurt i Hub wymienili zdziwione spojrzenia.

– Przecież nienawidzisz przebywania na świeżym powietrzu – zauważył Kurt.

– A ponadto nie znosi pani brzoskwiń – dodał Hub.

Nie mogła uwierzyć własnym uszom: kto może nienawidzić natury i owoców? Czyżby aż tak się teraz zmieniła? To wszystko jest bardzo niepokojące.

Kurt podprowadził wóz pod sam ganek. Czowała jego wzrok na sobie, gdy odpinała pas i otwierała drzwiczki samochodu. Stała, rozglądając się dokoła, gdy powiał wiatr i zadarł wzorzystą sukienkę prawie po pas. Zauważyła wtedy, że twarz Kurta jakby rozblęśla. Dobry znak! Nadal robiła na nim wrażenie.

Hub wygrzebał się z tylnego siedzenia i gdzieś poszedł, • mamrocząc pod nosem. Bonnie i Kurt zostali sami.

– Znasz dobrze farmę, ale może rzeczywiście zapomniałaś, ‘ więc ci jeszcze raz pokażę. Idziemy!

Poprowadził ją na ganek ścieżką wśród róż, potem otworzył I przed nią główne drzwi. Gdy przestąpiła próg, zobaczyła olbrzymi hol wyłożony ceramiką. Na ścianie na wprost wisiało ogromne lustro w złoconej ramie, a z boku w pękatej donicy stało t drzewko kauczukowe oświetlane wielobarwnymi promykami z witrażowego okna.

Rozglądała się zachwycona, z półotwartymi ustami. W pewnej chwili wzrok jej padł na Kurta, który bacznie ją obserwował.

Ich spojrzenia skrzyżowały się. Serce Bonnie biło jak szalone. Chciałaby, ale nie mogła oderwać od niego oczu, od pełnych zmysłowych ust, od kształtnej głowy, od... Pachniał mydłem, słońcem... Emanowała z niego uczciwość i dobroć. Serce biło jej jak szalone. Poczwała suchość w gardle. Czy przedtem podobnie na niego reagowała?

– Oprowadzę cię teraz po całym domu. Może sobie coś przypomnisz – powiedział, ujmując ją pod ramię i wywołując tym falę gorąca, która zabarwiła jej policzki i spłynęła po całym ciele.

Kurt poprowadził ją przez salon z wielkoekranowym telewizorem, magnetowidem i zestawem gier komputerowych. Wyłożony był dywanem, pełen miękkich foteli i kanap. Z salonu raczej „robotycznego” przeszli przez hol do drugiego, bardziej eleganckiego i z pewnością przeznaczonego dla gości lub samotną kontemplację, na co wskazywał między innymi bujany fotel. Wzdłuż ścian i pod oknami stały w doniczkach i donicach dorodne rośliny. Potężne okno w wykuszu obramowane było pięknymi zasłonami z jedwabnej materii w niebiesko-beżowe pasy.

– Bardzo mi się podoba ten salon – powiedziała.

– Mówiłaś przecież, że jest nijaki i koniecznie chciałaś go przemeblować.

Im więcej dowiadywała się o dawnej Elisabeth, tym mniej sama siebie lubiła.

– Naprawdę nic sobie nie przypominasz? – Kurt pokręcił głową, widząc jej zaskoczoną minę. – Chodź, pokażę ci resztę domu.

– Czy to ty, Kurt? – rozległ się głos kobiecy.

– Tak, Consuelo – odparł Kurt i pchnął drzwi do kuchni wyposażonej w nowoczesny sprzęt, od zmywarki po potężną chłodziarkę i jeszcze potężniejszą zamrażarkę. U sufitu – nad grubym pniem uciętym na wysokości kuchennego blatu i ustawionym pośrodku kuchni – zwisały wypolerowane stare mosiężne rondle i garnki.

Wszystko to Bonnie objęła jednym spojrzeniem, ale najbardziej była ciekawa właścicielki melodyjnego głosu. Czy Consuela jest nową przyjaciółką Kurta? Bardzo ją to zaniepokoiło.

Nad zlewozmywakiem stała ciemnowłosa szczupła kobieta w dzinsach i nucila jakąś starą melodię. W kuchni pachniało pieczoną kurą, gotowaną fasolką i świeżutkim domowym chlebem. Coś drgnęło w uspiętej pamięci Bonnie.

Kobieta obróciła się i zamilkła, a z jej twarzy zniknął uśmiech. Odstawiła trzymany w dłoniach talerz i stała z przymrużonymi oczami, wsparta o blat zlewozmywaka.

– Co ona tu robi? – spytała po chwili, a w słowie „ona” zawarty był śmiercionośny jad.

– Consuelo... Elisabeth uległa wypadkowi i utraciła pamięć. Pełna amnezja. Nic nie pamięta z przeszłości.

W oczach Consueli widać było niedowierzenie.

– Elisabeth, przedstawiam ci Consuelę, żonę Huba.

– Witaj, Consuelo! – Bonnie opatrzyła te słowa lekliwym uśmiechem. Nie wiedziała, jaką krzywdę mogła niegdyś wyrządzić tej kobiecie. – Przepraszam, jeśli kiedykolwiek zachowałam się wobec pani niewłaściwie...

– Czy to jakiś żart? – Consuela podniosła jedną brew i spojrzała pytająco na Kurta.

– To nie jest żart – odpowiedziała nie zrażona Bonnie. – Ja naprawdę nic nie pamiętam. Nie znam moich win...

– Bardzo to wygodne – skomentowała Consuela.

To okropne, pomyślała Bonnie. Wszyscy traktują mnie jak trędowatą. Hub, Consuela, Kurt... Okropnie bolała ją głowa. Podniosła dłoń i położyła na bandażu, jakby chciała tym gestem złagodzić cierpienie.

– Daję Elisabeth północny pokój gościnny – poinformował ; Consuelę Kurt.

– Wszystko mi jedno, bylebym nie musiała koło niej chodzić. Nie mam na to ochoty.

– Ach nie! Nigdy bym się nie zgodziła, żeby ktokolwiek koło mnie chodził – zaprotestowała Bonnie. – I proszę mówić do mnie Beth.

Consuela spojrzała porozumiewawczo na Kurta i pokręciła głową. W odpowiedzi wzruszył ramionami.

Bonnie pilnie im się przyglądała. Tliła w niej nadzieja, że jeśli będzie postępować roztropnie, to może ludzie nabiorą do niej zaufania, a Kurt wszystko wybaczy... Spróbowaliby jeszcze raz...! A tym razem będzie zupełnie inna, mając w pamięci wszystkie złośliwe uwagi,

z jakimi się od kilku godzin spotyka.

Na piętrze wokół klatki schodowej znajdowało się pięć sypialni. Kurt poinformował, że jedna sypialnia jest obecnie przekształcona w pokój komputerowy – trzy komputery, faks, kopiarka – drugą zajmuje on, a trzy przeznaczone są dla gości.

Bonnie weszła do przydzielonej jej sypialni, w której dominowała zieleń i biel. Na szerokim łóżku leżała kołdra w zielonobiałe pasy, na komódce stał telewizor i magnetowid. Po przeciwległej stronie zobaczyła pianino. Za oknem widać było bujnie zakrzewiony ogród.

– Czy tu też mi się nie podobało? – spytała.

– Nie znosiłaś tej sypialni. – Kurt usiadł na skraju łóżka. – Nie znosiłaś tego domu, okolicy, wrywałaś się ciągle do Los Angeles, mówiąc, że tu jest nudno.

– Tu jest cudownie! – powiedziała z zachwytem. – I ta sypialnia jest śliczna. Ale ze mnie musiał być numer...

– Mówiąc bardzo łagodnie – zgodził się Kurt.

– A ja w głębi siebie czuję, że było we mnie i coś dobrego.

– Skrzętnie to ukrywałaś.

– Co będzie, jeśli nigdy nie odzyskam pamięci?

– No, to nie odzyskasz.

– Jak długo wolno mi będzie tu zostać?

– Nie wiem – odparł po długiej chwili.

– Czy myślisz, że istnieje szansa... że ty i ja... że my... no wiesz... mamy jakąkolwiek szansę odbudowania naszej...

– Obawiam się, że to jest wykluczone.

– Nawet jeśli się zmieniłam?

– Nie próbuj, Elisabeth.

– Prosiłam cię, żebyś mówił do mnie Beth. Wolę to od Elisabeth.

Patrzył na nią przenikliwie zimnym wzrokiem.

– Przepraszam za wszystko zło, jakie ci wyrządziłam...

– A więc przypominasz sobie? – rzucił oskarżycielskim tonem.

– Absolutnie nic sobie nie przypominam, ale z tego, jak mnie wszyscy traktujecie, wnioskuję, że załazłam wam za skórę. Żałuję tego.

– Jak możesz żałować zbrodni, której nie pamiętasz? – Z brązowych oczu bił chłód.

– Masz rację, nie mogę... – Spuściła głowę i wpatrzyła się w podłogę.

Kurt złapał się na tym, że patrzy na Elisabeth z pożądaniem. A więc w sferze... fizycznej jego uczucia były nadal żywe. Może gdyby zajął się... hmm... cielesnym aspektem ich wzajemnego stosunku, to przyspieszyłby naprawę emocjonalnej strony...

– Ona jest jednak inna – wymruczał do siebie tak głośno, że Bonnie usłyszała.

Podeszła do pianina, otworzyła wieko i przemknęła palcami po klawiaturze.

– Czy ja umiem grać? – spytała.

– Nigdy przy mnie nie próbowałaś. Mówiłaś, że nie masz sluchu. To jest pianino mojej babki.

Bonnie usiadła i zaczęła grać klasyczny utwór. Nagle przestała zafrasowana. Nie przypominała sobie, by umiała grać.

– Nie wiem, już nic nie wiem. – Zerwała się ze stołka.

– Pojęcia nie miałam, że umiem grać... Sam powiedziałeś, że nigdy nie próbowałam...

– Nie przejmuj się. Dojdiesz do siebie. Odzyskasz pamięć.

– Jeszcze przed pięcioma minutami wątpił w jej amnezję, ale teraz... To pianino i chyba prawdziwy lęk w jej oczach. Kurt dałby głowę, że Elisabeth nie udaje. Podszedł i objął ją opiekuńczo.

Obróciła ku niemu głowę i spojrzała w oczy tak, jak ofiara wypadku patrzy na człowieka, który ratuje ją z pożogi.

Kurt nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Czuł jakąś tkliwość do kobiety, która była dla niego wszystkim, nim poznał jej prawdziwy charakter. Ale kim jest teraz? I czy taka zostanie? Czy to jest właśnie prawdziwa Elisabeth?

Przypomniał sobie słowa Huba: nie daj się po raz drugi omamić. Elisabeth Destiny to przebiegła i chytra sztuka.

Ale Beth nie wyglądała ani na przebiegłą, ani na chytrą. Wydawała się łagodna, dobra i niewinna. Jakże inna od twardej, cynicznej Elisabeth. Beth i Elisabeth to dwie różne osoby... Czy amnezja potrafi tak zmienić człowieka?

– Okropnie się boję, że nie odzyskam pamięci – powiedziała. – Ale chyba jeszcze bardziej się boję, że odzyskam.

– Nie rozumiem? – Bliskość Beth wywoływała w nim burzę uczuć. Nagle zapragnął ją całować, tulić...

– Chciałabym dowiedzieć się, kim jestem, ale jednocześnie boję się. Boję się tego, co mogłabym odkryć. Jestem okropna, prawda?

Spojrzała tak przejmująco, że mocniej ją przytulił.

– W przeszłości wykorzystywałeś ludzi – powiedział ostrożnie. – Ale twój wypadek chyba to wszystko zmienił...

– A co będzie, jeśli przeszłość powróci?

– Nie wiem – odparł szczerze. – Ale jeśli teraz udajesz, to Bóg mi świadkiem, Elisabeth, że będziesz tego żałowała do końca życia.

– Myślisz, że bawi mnie to, co się ze mną dzieje? Nie życzę tego najgorszemu wrogowi.

– Myślałem, że to ja jestem twoim najgorszym wrogiem.

– Jesteś moim jedynym przyjacielem.

– Pamiętasz naszą pierwszą noc w tej sypialni?

– Nie – odparła zduszonym głosem.

– Ja doskonale pamiętam. Jesteś teraz ładniejsza. Delikatniejsza. Słodsza. – Wbrew zdrowemu rozsądkowi objął ją i przyciągnął do siebie. Długo stali pogrążeni w namiętym pocałunku. Przytrzymał ją mocniej, gdy usiłowała się wyswobodzić. – Tego chciałaś, prawda?

– Nie! – Wyrwała się.

Kurt był całkowicie zdezorientowany. Nie spodziewał się ani tej odpowiedzi, ani tego smaku pocałunku. To, co teraz czuł, było zupełnie inne od zapamiętanych doznań. Silniejsze, bardziej obezwładniające...

Położył dłoń na jej piersi. Co się z nim dzieje? Zupełnie jakby był z inną kobietą. Wspaniałą kobietą...!

– Proszę... nie...! Przestań! – szeptała, dygocąc w jego ramionach, w których nagle znalazła się z powrotem. – Puść mnie...!

Kurt puścił Bonnie i cofnął się o krok, zaskoczony zarówno swoim postępowaniem, jak i jej reakcją. Dlaczego ją pocałował? A co ważniejsze, dlaczego Elisabeth nie wykorzystała okazji do zrzucenia z siebie sukienki. Pod tym względem raczej nie należała do nieśmiałych.

– Coś się ze mną dzieje... – Cofnęła się o parę kroków. – Jakby nigdy nikt mnie nie całował. Tak się boję...

– Dobrze, że się boisz.

– Dlaczego mnie pocałowałeś?

– To była próba. Chciałem sprawdzić, czy udajesz.

– Zdałam egzamin prawdy?

– Chyba tak... – odparł z wahaniem. Gdyby przed chwilą chętnie mu się oddała, wiedziałby, że amnezja jest udawaniem. Tymczasem ona zachowała się tak jak dziewczyna w noc poślubną.

Wszystko to jest przecież nieważne, uprzytomnił sobie. Nawet jeśli rzeczywiście się zmieniła, między nimi nic się nie zmieniło. Musi jej to jasno powiedzieć.

– Posłuchaj mnie uważnie, Elisabeth... – zaczął. – Między nami wszystko skończone. Zdradziłaś mnie, nadużyłaś mojego zaufania. Odzyskasz pamięć czy nie odzyskasz, nie ma powrotu do przeszłości. Wybij to sobie z głowy!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kurt wściekły wyszedł z sypialni. W głowie miał chaos, nie mniejszy niż po przejściu tornado.

Niech piekło pochłonie tę kobietę! Znowu robi te swoje sztuczki, wabi... A myślał, że zaczyna już o niej zapominać. I właśnie wtedy pojawia się słodziutka istotka, która jeszcze jako diablica zawróciła mu w głowie. Myślał, że ją kocha, póki nie spostrzegł, że ma do czynienia z aktorką, która poza filmowym planem także gra rolę. Dał się nabrać, ale już nigdy więcej...

Nie wolno mu uwierzyć, że diablica przekształciła się w anioła. Nie ma takich nagłych zmian. Coś mu podszeptywało, że przecież nie wszystko bywa tak, jak się wydaje, ale zignorował ten głos. Owszem, amnezja może i jest prawdziwa, ale w zachowaniu jej było coś, co nie pasowało do Elisabeth – z pamięcią czy bez pamięci. Czy jest to starannie przygotowany scenariusz? Co Elisabeth knuje? Bo to, że knuje, wydawało się jasne. Sprytna osoba potrafi oszukać nawet batalion neurologów. Ale po co? Musi dotrzeć do prawdy. Zastawi pułapkę, by otrzymać odpowiedź na dręczące go pytanie – po co ona to wszystko robi?

Na nieszczęście jakaś część jego świadomości bardzo pragnęła, by zmiany, jakie obserwuje w Elisabeth, były prawdziwe i żeby stał się możliwy ów powrót do przeszłości, przed którym tak się zarzekał. Przestań oddawać się mrzonkom, McNally. skarcił się ostro. Nie waz się mieć podobnych myśli!

Elisabeth Destiny potrafi kochać tylko siebie, nikogo innego. Na początku ich znajomości szczebiotała, jak to pragnie mieć dzieci. Zapewniała go też, że uwielbia wieś i otwarte przestrzenie. Sprawiała wrażenie osoby, która będzie pomagała mężowi w jego humanitarnych przedsięwzięciach. Podniecona mówiła o uroczystości ślubnej na ranchu, w czasie której będzie boso, aby podkreślić swoje szczerze intencje zostania żoną farmera. Nie da się zaprzeczyć, że go omamiła, tak jak to nazwał Hub. Obiecała oczywiście zawiesić na kilka lat karierę filmową, by zająć się dziećmi. Musiał chyba postradać zmysły, że dał się na to nabrać.

Zamyślony nie poczuł nawet dłoni Huba na swoim ramieniu. Skoczył jak oparzony, słysząc nagle jego głos:

– Nie pozwól jej na powtórkę, szefie!

– Nic się nie bój. Ona tu zostanie tylko do chwili odzyskania pamięci. To nie potrwa długo. Doktor Freely mówi...

– Oszukuj się, jeśli chcesz, ale mnie nie okłamiesz. Wiem, masz nadzieję, że ona naprawdę się zmieniła.

– Wcale nie. I przestań tak na mnie patrzeć...

Hub tylko pokiwał głową i wzruszając ramionami, odszedł w kierunku stodoły. W połowie drogi zatrzymał się i odwrócił.

– Jedynym dla ciebie ratunkiem jest przestać myśleć o tej damulce. Lepiej zajmij się tym, co trzeba, farmą. Chodź, pomożesz mi...

Kurt w pełni zgadzał się z przyjacielem. Jedynym ratunkiem jest praca. Wolnym krokiem ruszył za Hubem.

Bonnie siedziała w pustej sypialni, z oczu płynęły jej łzy. Jeszcze nigdy tak wiele nie płakała. Jeszcze nigdy nie czuła się tak samotna... Chyba jeszcze nigdy, bo przecież w głowie miała kompletną pustkę. Nic, zupełnie nic sobie nie przypominała.

Nikt jej nie kocha. Nikt. Wstała i podeszła do okna. Zobaczyła Kurta w rozmowie z Hubem. Potem obaj zniknęli w stodole. Kurt! Kiedy wziął ją w ramiona i całował, miała wrażenie, że znalazła się w niebie. Ale to trwało krótko. Potem powiedział, że to koniec.

Czy można być bardziej nieszczęśliwą? Zastanawiała się, czy po cichutku nie opuścić farmy.

Pieszko? I dokąd by poszła? Skąd wzięłaby pieniądze? Pewno gdzieś je ma, ale gdzie?

A co będzie, jeśli szybko nie odzyska pamięci? Jeśli w ogóle jej nie odzyska? Jak długo zniesie samotne życie, zawieszona w absolutnej pustce?

Użalanie się nad sobą niewiele pomoże, to pewne. Trzeba szukać rozsądnego rozwiązania. Nie wolno jej siedzieć z założonymi rękami niby księżniczka w złotej klatce. Jeśli chce naprawić swoje błędy, musi odważnie stawić czoło światu i przekonać wszystkich, że żałuje dawnego postępowania i jest teraz inna.

A więc, panno Elisabeth Destiny, otrzymujesz szansę. Nie zmarnuj jej! Otarła łzy i podeszła do owalnego lustra na toaletce. Usiadła i dumnie podniosła głowę, patrząc na własne odbicie. Masz do zagrania największą rolę swego życia, panno Destiny. Prawdziwą rolę! Masz przekonać Kurta McNally, że jesteś inną kobietą. Jesteś przecież z natury rzeczy dobrą kobietą, prawda? Wiesz o tym, Zagraj siebie!

Zachęcona tymi myślami opuściła sypialnię i cicho zeszła na dół. Z kuchni dobiegały ją odgłosy przygotowań do posiłku.

To może być dobry początek. Zaoferuje swoją pomoc Consueli przy przygotowywaniu lunchu. Być może dowie się od niej czegoś o przeszłości. Prawda może okazać się przykra, ale cóż – trzeba ją poznać. Jakże grzesznica ma odpokutować za winy, skoro ich nie zna.

Pchnęła wahadłowe drzwi i weszła do kuchni.

Wyjmując z pieca świeżo upieczony chleb, Consuela nuciała pod nosem. Bonnie, lekko zamroczone, położyła dłoń na obandażowanym czole. Przypomniawszy sobie jej niewyraźny obraz z przeszłości: ktoś inny w fartuchu i rękawicach wyjmujący podobny bochenek z pieca. Ale z innego pieca. To z pewnością nie było tu i to nie była Consuela. Nim wizja zdołała nabrać wyraźniejszego kształtu, zakręciło się jej w głowie i z hałasem osunęła się na ścianę.

Gdzieś z daleka usłyszała głos Consueli i poczuła jej pomocną dłoń.

– Co się stało, Elisabeth? Już dobrze, trzymam cię, siadaj! Usiłowała coś odpowiedzieć, ale suchość w gardle nie pozwalała jej wydusić słowa.

– Oddychaj głęboko, oprzyj głowę... Zaraz przyniosę zimny kompres.

– Ja... nie chcę robić... kłopotu – wyjąkała wreszcie Bonnie. Usłyszała odkręcanie kurka z

wodą, potem Consuela wróciła i mokrym zimnym ręcznikiem przetrzała jej policzki. Uniosła głowę i położyła kompres na nie obandażowanej części czoła. – Dziękuję – wyszeptała Bonnie. Podniosła wzrok i zobaczyła Consuelę, która stała przed nią ująwszy się pod boki.

– Wcale nie jestem pewna, czy to nie jest jeszcze jedna z twoich wspaniałych kreacji aktorskich – powiedziała. – Nie ufam ci.

– Wiem, że mi nie ufasz. Aleja naprawdę nie gram. – Bonnie znowu była bliska płaczu.

– Już raz nas nabrałaś. Potem zdradziłaś Kurta. Traktujesz ludzi jak śmiecie. To nie popłaca na długo... – Consuela zmarszczyła czoło, bacznie lustrując sylwetkę Bonnie. – Jesteś w tej samej sukieneczynie, w której przyjechałaś...? Co się stało z elegancką Elisabeth Destiny? – Wydawała się szczerze zdziwiona.

– Byłam w tej sukience, kiedy odzyskałam przytomność po wypadku. Nie wiem, gdzie mam ubrania, nie wiem, gdzie przed wypadkiem mieszkałam... I po co byłam w Fort Worth...

– Kurt porozdawał rzeczy, które tu zostawiłaś – poinformowała Consuela. – Nie chciał żadnych pamiątek po tobie. Spali! także twoje zdjęcia.

– Musi mnie okropnie nienawidzić – wymamrotała Bonnie.

– Postaw się na jego miejscu. Jak ty byś zareagowała, nakrywając swojego ukochanego narzeczonego w łóżku z twoją bliską koleżanką?

– Boże drogi! Jak ja to mogłam zrobić? To okropne! To do i mnie niepodobne!

– Do ciebie niepodobne?! Ha, świetny kawał. – Consuela roześmiała się, ale poważniejąc, dodała: – A ja nadal ci nie wierzę.

– Przysięgam, że nie udaję!

– Przysięganie nie wystarczy. Dobrze będziesz musiała popracować, żebyśmy ci uwierzyli.

– Właśnie chciałam popracować. Czy mogę ci pomóc? Bardzo proszę, pozwól mi...!

Consuela, która już wróciła do przerwanej pracy, obróciła się zdziwiona. Przez chwilę bacznie się jej” przyglądała, wreszcie skinęła głową.

– Dobrze, nakryj do stołu. Jakoś szybko przeszedł ci ten zawrót głowy.

Bonnie umyła ręce i wytarła.

– Nie przypominam sobie, gdzie są nakrycia.

– Skąd miałabyś sobie przypomnieć, skoro nigdy w tym domu nie ruszyłaś palcem.

– To się zmieni. Zapewniam, że to się zmieni. Na ile osób mam nakryć?

– Pięć. Ja, ty, Kurt, Hub i Jesse...

– Kto to jest Jesse?

– To też zapomniałaś? Pracownik farmy. Usiłowałaś go uwieść. – Nie bacząc, że Bonnie głośno jęknęła, Consuela ciągnęła dalej: – Wątpię, aby był zachwycony twoim widokiem. Nie spodziewaj się, że padnie ci do stóp. Zastawa jest w dębowym kredensie, nakrycia też tam, w drugiej szufladzie od strony lodówki. – Bez dalszych komentarzy Consuela powróciła do przygotowywania ziemniaczanego puree.

Bonnie zabrała się do roboty. Wkrótce stół był ładnie nakryty, a obok każdego talerza leżała fantazyjnie zwinięta bibułkowa serwetka.

Z trzaskiem otworzyły się drzwi i z dworu weszli Kurt, Hub i młody mężczyzna, z pewnością ów Jesse, wnosząc ze sobą zapachy świeżo ściętej trawy i słońca.

Hub czule przywitał się z żoną, a potem spojrzał zimno na Bonnie, która zerkała chciwie na Kurta, chcąc rozpoznać jego humor.

Kurt, wspaniały Kurt! Stojąc teraz w słońcu przy framudze drzwi, sprawiał wrażenie greckiego boga, który pojawił się wśród śmiertelnych.

Na widok Bonnie wszyscy zamilkli. W kuchni zawisła niemal złowroga cisza, którą przerwała Consuela, wydając polecenie:

– Elisabeth, pokrój chleb!

Było to tak zaskakujące, że atmosfera nagle się poprawiła. Mężczyźni zaczęli kolejno myć ręce. Hub oświadczył, że umiera z głodu, a Kurt obchodził dokoła Bonnie, przyglądając się, jak sobie daje radę z nożem i bochenkiem.

– Co ona tutaj robi? – spytał Jesse szeptem, który jednak dotarł do Bonnie. Najwidoczniej nikt go nie poinformował o wizycie Elisabeth.

– Amnezja. Straciła pamięć w wypadku – poinformował krótko Kurt.

Podobnie jak przedtem Kurt i Hub, tak teraz Jesse rzucał w jej stronę wrogie spojrzenia. Boże, wszyscy ją nienawidzą! Nawet pracownik na farmie... Czy jest sens, by pozostawała tu dłużej, skoro nikt nie chce dać jej szansy rehabilitacji...?

Napotkała wzrok Kurta. Wyczytała w nim odpowiedź na . swoje pytanie... Nie, nie i jeszcze raz nie! Nie ulegnie, nie zrezygnuje, nie umknie z placu boju! Bo to jest plac boju o jej honor. Zostanie, przekona ich wszystkich, naprawi swoje błędy.

– Lunch gotowy – zawiadomiła Consuela.

Wszyscy usiedli do stołu. Bonnie zajęła ostatnie wolne miejsce. Widziała wlepione w siebie cztery pary oczu. Rozejrzała się i opanowanym głosem powiedziała:

– Zapewniam was, że nie gryzę, nawet nie warczę. Udawajcie, że mnie tu nie ma i rozmawiajcie sobie o waszych sprawach. Proszę tylko o jedno: dajcie mi szansę udowodnić, kim ‘ naprawdę jestem. I traktujcie mnie jak każdego innego gościa przy stole.

– Hmm, wiele od nas żądasz, Elisabeth... – mruknął Kurt. Jesse pochylił głowę nad talerzem, Consuela przybrała obojętną minę, tylko Kurt postanowił ciągnąć temat dalej:

– Zraniłaś każdą z obecnych tu osób, a teraz oczekujesz od nas, że będziemy zachowywali się jak gdyby nigdy nic?

– Jeśli o mnie chodzi, to mogę powiedzieć szczerze, klnąc się na wszystkie świętości, że nigdy nic złego nikomu nie zrobiłam. Ta ja, którą teraz jestem, nie ma w sobie złości, złośliwości ani jadu.

– Bardzo wygodna wymówka – powiedział Kurt. – Skoro z ciebie takie niewiniątko, to ci powiem: nazwałaś Huba półgłówkiem, Consuelę traktowałaś tak, jak tylko źli ludzie traktowali niegdyś kuchennego kocmołucha, a Jesse’a usiłowałaś zaciągnąć do swego łóżka. Mało ci? Bo to dopiero początek.

– Kiedy ja... ja...

– Może rzeczywiście cierpisz na amnezję i szczerze żałujesz swoich dawnych zachowań.

Obiecałem lekarzowi, że pozwolę ci tu odbyć rekonwalescencję do dnia odzyskania pamięci. Nie spodziewaj się jednak, Elisabeth Destiny, że będziemy zachowywać ‘ się tak, jakbyś nigdy nie uczyniła nic złego i była jedną z nas...

Bonnie opuściła głowę, całkowicie zdruzgotana. Nastrój przy stole był ponury. Hub próbował uratować sytuację rozmową o zbiorze brzoskwiń, ale nikt nie podjął tematu.

Kurtowi zrobiło się żal Elisabeth. Siedziała skulona, dziobiąc tylko jedzenie i zerkając na boki jak zaszczute zwierzę. Blond włosy opadały jej na plecy, prosząc się o to, by je pogłaskać... A potem ująć głowę i przytulić...

McNally, uważaj, znowu okazujesz słabość, przestrzegł się w myślach. Teraz miał dość rozumu, by się pilnować. Przedtem wielu znajomych, w tym znajomych z kręgów filmowych, mówiło mu, żeby jej nie ufał. Słyszał niezliczone plotki. Ale zakochany po uszy, nie dawał im wiary, a poza tym w początkowym okresie Elisabeth towarzyszyła mu wiernie we wszystkich dobroczynnych imprezach.

Dopiero po kilku miesiącach dostrzegł prawdziwe oblicze panny Destiny, złej, mściwej, bezlitosnej. Kiedy przyjechała na ranczo, zdobywszy już upragniony pierścienek zaręczynowy, pokazała, kim jest. Robiła ciągle awantury, dąsała się, wymyślała ludziom, skarżyła się na nudy i opowiadała, że brak nocnych klubów Los Angeles ją zabija.

Z początku Kurt kładł to na karb zmiany trybu życia. Ale okazało się to skazą charakteru. Zachowywała się coraz gorzej, otwarcie flirtowała z każdym napotkanym mężczyzną, chodziła po farmie w skąpym bikini. Piekliła się, gdy Kurt prosił o zachowanie umiaru.

Amnezja nie amnezja, Elisabeth nie mogła się aż tak zmienić, jak o tym usiłowała przekonać otoczenie.

– Czy pozwolicie, że wstanę? – dobiegł go drżący głos.

– Słucham? Nie rozumiem? – Wyrwany z rozmyślań Kurt spojrzał nieco błędnie.

– Bardzo cię przepraszam, Consuelo, jedzenie jest wspaniałe, ale ja nie mogę nic przełknąć... – W jej oczach błyszczały łzy. – Chciałabym wrócić do pokoju...

Kurt poczuł ni to litość, ni wyrzuty sumienia, ale się nie odezwał. Nie wierzył w metamorfozę osoby, która do perfekcji opanowała sztukę aktorski w życiu prywatnym.

Bonnie wstała od stołu, sprawiając wrażenie wyleknionej dziewczynki. Widziała nieprzyjazne spojrzenia i ogarnęła ją fala wątpliwości we własne możliwości przekonania tych ludzi o jej dobrych intencjach.

– Pójdę na górę i chwilę poleżę – powiedziała do Kurta. Przez chwilę zastanawiał się, skąd ona wyciągnęła tę bardziej niż skromną sukienkę. I po co ją włożyła? Właściwie dopiero teraz dobrze się jej przyjrzał. Czyżby starała się w ten sposób wzbudzić sympatię do siebie? Z Elisabeth wszystko jest możliwe.

Obecni odetchnęli z ulgą, gdy zamknęły się za nią drzwi. Jeszcze tylko przez chwilę słyszeli jej Itroki na schodach. Gdy umilkły, wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

– I powiedzcie sami, czy można w to uwierzyć? – zapytał Hub.

– Nie ufam jej – stwierdziła Consuela.

– Czy ona naprawdę ma amnezję? – dopytywał się Jesse.

– Moim zdaniem udaje – odparła Consuela.

– Neurologrzy twierdzą, że nie udaje. Tylko dlatego zgodziłem się tu przywieźć – powiedział Kurt.

– Chyba nie masz w stosunku do niej... romantycznych zamierzeń? – spytał Hub.

– Oczywiście, że nie! – warknął Kurt. – Nie wściekaj się, przyjacielu. Po prostu nie chcę, żebyś sparzył się po raz wtóry – wyjaśnił Hub.

– Ja też tego nie chcę – dodała Consuela.

– Nie jestem głodny – oświadczył nagle Kurt. – Idę do sadu. – Nie czekając na ich reakcję, wstał i wyszedł.

Usiłował nie myśleć o Elisabeth, ale ciągle miał przed oczami jej zmaltretowaną twarz. .

Na miłość boską, nad kim ty się litujesz? Zaczął sobie wymyślać od kretyńców, bałwanów i ślepców. Nic nie pomogło.

A jeśli ta kobieta rzeczywiście się zmieniła? A jeśli nigdy nie odzyska pamięci? I co wówczas?

W pewnej chwili uderzył się w czoło otwartą dłonią. Przypomnij sobie, durniu, jak ją złapałeś z Grantem Lewisem! Grant nie potrafił wtedy spojrzeć mu w oczy. Wziął na siebie całą winę, ale wystarczyło spojrzeć na Elisabeth... Jej butny wyraz twarzy nie pozostawiał wątpliwości co do tego, kto był głównym sprawcą, ponadto Elisabeth oświadczyła, że to jego wina, ponieważ spędza zbyt wiele czasu na budowie domu dla bezdomnych.

Kurt szedł wzdłuż ogrodzenia, za którym pasły się krowy, jego duma. Rasa Angus. W lipcowym upale natrętnie brzęczały muchy. Białe chmurki płynęły spokojnie po niebie. Szedł z rękami w kieszeniach, zastanawiając się nad sytuacją, w którą się wpakował. Emocje powoli opadały, górę wzięły obrazy, jakie miał teraz przed oczami – jego ziemia, jego ukochany świat! Duma rozsadzała mu pierś. Kochał tę farmę, kochał dom, w którym mieszkał. Nigdy nie zmieni tego życia na inne.

Od dzieciennych lat marzył o własnym ranczu. Czasami to właśnie marzenie pomagało mu jako tako przeżyć zły dzień lub pokonać przeszkodę, zdawałoby się nie do pokonania. Czasami chował się w jakiejś komórce, z dala od krzyków i bijatyk rówieśników i marzył. O tym, że jedzie konno, że pływa w zbiorniku na wodę, że zrywa soczyste winogrona z własnych krzewów. I nieustannie powtarzał sobie, że któregoś dnia te marzenia się spełnią.

I tak się stało. Rozglądał się teraz po własnym sadzie. Rząd za rzędem brzoskwiniowe drzewa. Gałęzie obciążone soczystymi owocami uginały się do ziemi. Łokciami oparł się o płot i patrząc na drzewa, na pastwisko po drugiej stronie, na niebo z chmurami i dom, doszedł do wniosku, że to, co ma, zupełnie mu wystarczy. Do tego jeszcze rozliczne interesy i działalność charytatywna. Kurtowi McNally'emu zbędne są płochy uczucia zwane miłością, kochaniem czy jak tam. Nie jest mu potrzebna Elisabeth ani żadna inna. Popęłnił błąd, okazując litość rzekomej biedaczce, która straciła pamięć. Powrót Elisabeth wywołał zbyt wiele emocjonalnych komplikacji. Co teraz powinien zrobić?

Gdzieś daleko, niby natrętna osa, brzęczał pod niebem sportowy samolot, gdzieś bliżej rozległ się jakiś tłumiony dźwięk podobny do kichnięcia, może... szlochu? Rozejrzał się

dokoła. Podniósł głowę i zobaczył parę opalonych nóg zwisających z drzewa. Podszedł bliżej i rozpoznał sylwetkę Elisabeth.

- Co ty tu robisz?
- Idź sobie, zostaw mnie w spokoju. *
- Co robisz na drzewie?
- Zostaw mnie!

Kurt patrzył całkowicie zdezorientowany. Elisabeth Destiny weszła na drzewo! Nie do pomyślenia.

- Jak się tam dostałaś?
- Wdrapałam się.
- Po diabła?
- Chciałam być sama. I dalej chcę. Idź sobie!

Elisabeth chciała być sama? Elisabeth Destiny nigdy nie chciała być sama. Ani w dzień, ani w nocy. Nienawidziła, gdy ją zostawiał samą choćby na pięć minut, nawet wtedy kiedy udawała, jaka to jest zakochana i w nim, i w działalności charytatywnej. Elisabeth Destiny wiedziała, nie skupiając na sobie czyjejś uwagi. Czyżby amnezja tak zmieniała ludzki charakter? Przecież ta „nowa” Elisabeth jest zupełnie inna. Sprawia wrażenie istoty bezbronnej, bardziej delikatnej...

Kurt zerwał z drzewa brzoskwinie i podał Elisabeth. Sam nie wiedział, po co to robi.

- Masz, zjedz! Nie tknęłaś obiadu. Widziałem, że tylko dziobałaś widelcem po talerzu.

W milczeniu pokręciła głową.

Wyjął z kieszeni scyzoryk i rozciął brzoskwinie na pół, wyjął pestkę, podał jej połówkę.

- Dlaczego jesteś nagle taki miły? – spytała podejrzliwie.
- Może dlatego, że mnie zaskoczyłaś, wdrapując się na drzewo.
- A cóż jest takiego nadzwyczajnego we wdrapywaniu się na drzewo?

– Dawniej nigdy byś tego nie zrobiła. – Widok dyndających nóg, kaskada blond włosów wśród zieleni i białych zębów wgrzyzających się w połówkę owocu zupełnie go rozbroił. Poczuł, że robi mu się gorąco, bardzo gorąco...

- Wspaniale – powiedziała Bonnie połknąwszy ostatni kawałek brzoskwini.
- Masz drugą połowę. – Podał jej owoc.

Tym razem ich palce się spotkały, a Kurt miał wrażenie, że ziemia się zakołysała.

Zapadła chwila milczenia. Bonnie z apetytem pałaszowała brzoskwinie.

– Doktor Freely powiedział, że to może potrwać wiele tygodni, nim odzyskasz pamięć... – powiedział Kurt. – Jeśli naprawdę ją straciłaś... – Nie był pewien, czy tę uwagę dodał głośno, czy też tylko w myślach.

- Powiedział także, że mogę nigdy jej nie odzyskać. Boję się.
- Odzyskasz. Nic się nie bój. Wszystko będzie dobrze.

– Nie wiem. Ja się wcale nie czuję jak Elisabeth Destiny. Nawet nie wiem, czy nią naprawdę jestem.

- Co ty znowu opowiadasz?

– Bo ona wcale nie myśli tak jak ja.

– Jaka ona? Mówisz o sobie.

– Nie wiem. Wcale się z nią nie utożsamiam...

Ja też nie utożsamiam Elisabeth na drzewie z tamtą, pomyślał Kurt. Trzeba poczytać to i owo o amnezji.

– Jazda, Beth, złaż z tego drzewa. Pomogę ci. – Zaskoczyło go, że nazwał ją Beth i że mówi do niej łagodnie.

Wyciągnął obie ręce i objął Bonnie w pasie. Zapach truskawek z kremem zniewalał. Pod cieniutką bawełnianą sukienką wyczuwał gorące ciało dziewczyny. I szybkie bicie jej serca. Skrzyżowały się ich spojrzenia. Zdjął ją z gałęzi i postawił na ziemi, ale nim to się udało, oboje usłyszeli odgłos rozdieranego materiału.

– O Boże, moja jedyna sukienka!

– Obróć się. Zobaczę.

Posłuchała. Sukienka była rozdarta od góry aż poniżej talii. Od kiedy to Elisabeth Destiny nosi bawełnianą bieliznę? Gardziła wszystkim, co nie było jedwabiem.

Ogarnęło go nieoczekiwane podniecenie, w jakie nie wprowadziłaby go ani czarna podwiązka, ani przezroczysty batyst. Z trudem przełknął ślinę, oddając się w opiekę bogom miłosnych rozkoszy.

Nie było jednak na nie czasu, gdyż Elisabeth zaczęła głośno narzekać, że teraz nie będzie się mogła nikomu pokazać, chyba że owinięta ręcznikiem.

– Najgorsze, że nie ma tu już żadnych twoich rzeczy – powiedział. – Wszystko rozdałem.

– Właśnie dlatego się martwię. Consuela już mi to powiedziała. Co ja teraz zrobię...?

– No cóż, szkoda, że nie lubisz džinsów...

– Kto ci to powiedział? Uwielbiam!

Kurt otworzył szeroko usta i pokręcił głową.

– Ale ty błyskawicznie zmieniasz upodobania! Może Consuela pożycz ci parę džinsów i jakąś bawełnianą koszulkę, a jutro pojedziemy do Weatherford i kupisz sobie, co ci potrzeba.

– Nie mam pieniędzy. W szpitalu powiedziano mi, że po wypadku ktoś mi ukradł torebkę.

– Nic nie szkodzi. Bez twojego pozwolenia oddałem całą twoją garderobę, muszę więc teraz coś ci kupić.

– Jesteś pewien, że to będzie w porządku?

– Oczywiście, że będzie w porządku. Przecież nie mogę pozwolić, żeby mi po ranczu chodzili obszarpani goście. Co by o mnie powiedziano? Może i dobrze, że kupisz nowe rzeczy, bo te, co zostawiłaś, były nieco za... skąpe, jak na tę okolicę.

– Ooo? Dowiaduję się o sobie coraz gorszych rzeczy. Musiałam być okropne... ladaco.

– To ty powiedziałaś.

– Bardzo mi przykro. Żałuję wszystkiego.

– Żal nie gasi bólu.

– Wiem. – Twarz jej posmutniała.

Kurt widział, że jest znowu bliska płaczu. Zaklął pod nosem, czując wzbierającą ochotę

objęcia jej i pocieszenia... Kto wie, czy nie pocałunkiem.

– Idziemy! – powiedział niespodziewanie ostro i nie czekając na nią, pognął przez pole w kierunku domu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Bonnie z dłońmi złożonymi na kolanach siedziała obok Kurta. Miała na sobie pożyczone od Consueli spłowiełe dzinsy i żółtą bluzkę bez rękawów. Podczas krótkiej drogi do Weatherford nie otworzyła ust. Bliskość Kurta ją onieśmielała. Zresztą, o czym miałyby rozmawiać z człowiekiem, który czuł do niej tyle goryczy po tym, czego doznał od Elisabeth. Więc tylko na niego zerkiała, na jego profil i włosy zmierzwiłone ciągłym nerwowym przeczesywaniem palcami.

Była zmartwiona rosnącym przekonaniem, że powrót do ich dawnych dobrych stosunków, nie mówiąc już o ponownych zaręczynach, nie będzie możliwy.

Kurt zatrzymał samochód przy niewielkim sklepie z damską konfekcją, znajdującym się przy placu, po którego drugiej stronie stał stylowy budynek sądów.

Bonnie rozglądała się ciekawie dokoła, usiłując znaleźć coś, co by przypomniało jej przeszłość. Jednakże nie znajdowała nic i była gotowa przysiąc, że nigdy nie była w tym miasteczku.

Przewieszony przez ulicę transparent obwieszczał doroczny festiwal brzoskwiń. Gorące powietrze rozedrgane i mieniące się przytłumionymi barwami tęczy unosiło się nad asfaltem. Było tak gorąco, że włosy lepiły się jej do karku. Kurt otworzył przed nią drzwi do sklepu. Wchodząc, poczuła falę zimna z klimatyzatora. Z powodu jaskrawości słonecznego światła na zewnątrz z trudem przystosowywała wzrok do panującego w sklepie półmroku. Ściany sklepu zastawione były stelażami, na których wisiały rzędy sukienek, bluzek i spodni. Na obrotowych stojakach pośrodku sklepu wisiały kurtki, spódnice i inne części garderoby.

– Wiem, że wołałabyś wybrać sobie coś w jakimś eleganckim sklepie w Forth Worth – powiedział sarkastycznym tonem Kurt. – Jednak chwilowo musisz zadowolić się tym, co znajdziesz tutaj.

– Przecież tu mają świetne rzeczy – zaproponowała Bonnie, oglądając z zainteresowaniem różową letnią sukienkę. – Naprawdę świetne...

– Aż trudno mi uwierzyć, że słyszę taką opinię z twoich ust. Pamiętam, jak któregoś dnia nakupiłaś strojów, za dziesięć tysięcy dolarów w butikach domu towarowego Neimana Marcusa.

– Niemożliwe?! Nic sobie nie przypominam. I byłabym wdzięczna, gdybyś pozbył się tego ironicznego wyrazu twarzy i zaczął mnie oceniać na podstawie tego, co robię teraz, a nie w przeszłości.

– Wątpię, abym mógł.

Zanim Bonnie zdołała Kurtowi odpowiedzieć na jego kolejną złośliwość, podeszła do nich sprzedawczyni.

– W czym mogę państwu pomóc? – spytała.

– Ta pani potrzebuje paru fatałaszków – burknął Kurt.

– O mój Boże! – wykrzyknęła dziewczyna. – To pan! To znaczy, to państwo... Sarah

Jane, chodź szybko, nie uwierzysz, kto do nas przyszedł!

Kurt skrzywił się, ale było już za późno, by wycofać się ze sklepu. Z zaplecza wychynęła głowa drugiej sprzedawczynie.

– Mamy w sklepie Elisabeth Destiny i Kurta McNally’ego.

– Pleciesz, oni ze sobą zerwali. Pisali o tym w gazetach.

– Chodźmy stąd – powiedział Kurt do Bonnie. – Jest jeszcze jeden sklep...

– Nie możemy. To byłoby bardzo niegrzecznie – odparła.

– Nareszcie poznaję dawną Elisabeth – syknął Kurt. – Zawsze głodna poklasku.

Bonnie spojrzała na niego zgorazona. Dlaczego Kurt zawsze bierze wszystko na opak? I tym razem pomieszała mu się zwykła przyzwoitość, jaką należy okazywać ludziom, z gonitwą za sławą.

– To oni! – wykrzyknęła Sarah Jane, przyjrzawszy się klientom. Podeszła do Bonnie. – I dostaniemy od pani autograf?

– zapytała z nadzieją w głosie.

– Dlaczego nie? – odparła Bonnie. Kurt zdegustowany odszedł w kąt sklepu.

– Nasza obecność tutaj to sekret. Nikomu o tym nie mówcie – poprosiła Bonnie. – Dam wam autograf, ale musicie coś dla mnie zrobić. Musicie mi pomóc wybrać kilka rzeczy...

– Naprawdę chce pani coś u nas kupić? – ucieszyła się Sarah Jane. – To wspaniałe, prawda, Tammy? – zwróciła się do koleżanki, nie czekając nawet na odpowiedź Bonnie. Po chwili posmutniała. – Tylko że... my nie mamy takich eleganckich rzeczy, jakich pani potrzebuje, panno Destiny...

– Nie mamy – powtórzyła jak echo Tammy. – Powinna pani pojechać do Forth Worth...

– Mnie jest potrzebne właśnie to, co u was widzę – zapewniła Bonnie. – Coś, co mogłabym nosić na farmie, w wiejskim domu...

Rzuciła okiem na Kurta, który z rękami w kieszeniach stał naburmuszony pod oknem i patrzył na ulicę. Chce się dąsać, niech się dąsa. Po raz pierwszy od wypadku poczuła się weselsza. Wreszcie ktoś powitał ją serdecznie. A jeśli to się nie podoba panu Kurtowi McNally’emu, to trudno.

Zabarykadowana w przymierzalni odbierała podawane jej przez obydwie sprzedawczynie sukienki, spodnie, bluzki.

– Może to będzie mu się podobało – powiedziała Tammy, podając kostium z dżinsowego płótna.

– Komu? – Bonnie w pierwszej chwili nie zrozumiała.

– Panu McNally’emu – odparła Tammy. – Bo on jest teraz taki wściekły. Mężczyźni, którzy tu przychodzą z paniami, często są wściekli, że za dużo wydadzą.

Bonnie włożyła przyniesiony jej komplet, otworzyła drzwi przymierzalni i zawołała do Kurta:

– Jak ci się to podoba?

Długo się wpatrywał, jakoś bardzo długo. Odniosła wrażenie, że poczerwieniał i szybciej oddycha.

– Odbiega od twojego stylu – odparł wreszcie dość sucho i wzruszył ramionami.

– Odbiega, bo i ja jestem inna! Czy ty tego nie rozumiesz? Czy stale musisz mi wszystko wypominać? – Zdjęła z wieszaka poprzednio oglądaną różową sukienkę. – A o tym, co myślisz?

– Czy to ważne, co ja myślę, Elisabeth?

– Bardzo ważne. I przestań wreszcie się złościć! Chcesz, żeby cały świat wiedział, że się kłócimy?

Obie sprzedawczynie z otwartymi ustami przysłuchiwały się rozmowie.

– I tak cały świat już wie! – Wskazał sprzedawczynie gestem ręki. – Musiałaś się od razu popisać i obwieścić, że znów jesteśmy razem.

– Co ty wygadujesz?! – wykrzyknęła oburzona. – Ja nic nie obwieszczałam. Przecież weszliśmy razem. Każdy wyciągnąłby z tego prosty wniosek, że się zeszlśmy. I prosiłam panie, żeby zachowały dyskrecję.

– Nie dam się po raz drugi nabrać na twoje reklamowe zagrania, Elisabeth...!

– Jesteś wstrętny... Masz... zakuty łeb. Nikomu nie wierzysz. ...

– Tylko tobie nie wierzę. I nie zapominaj, że mamy widownię. – Ponownie wskazał sprzedawczynie. – O Boże, zapomniałem, że ty uwielbiasz widownię...

– To podłe, co mówisz... Skończmy z tym. Proszę cię grzecznie, żebyś mi powiedział, co sądzisz o tej sukience. – Podniosła na palcu różową kreację.

– Bardzo kobieca. Nie dla ciebie.

– Wezmę ją.

– Jak sobie chcesz.

– Wezmę.

– Zawsze stawiałaś na swoim. Połykając łyzy, Bonnie poszła do kasy.

– Ta różowa, dwie pary dżinsów, bluzki, które wybrałam, i ten komplet dżinsowy.

Kurt wyjął z portfela kartę kredytową, rzucił na ladę i odszedł na swoją poprzednią pozycję pod oknem.

Sprzedawczynie krzątały się, Bonnie dała im upragnione autografy i czekając na wypisanie rachunku, stała pogrążona w ponurych myślach.

– Przyjedzie pani na festiwal brzoskwiń? – spytała Tammy.

– Nie! – odparł twardo Kurt spod okna.

– Tak – niemal jednocześnie powiedziała Bonnie.

– Panie McNally, pani Madge Henshaw, która koordynuje przygotowania, bardzo potrzebuje ochotników. Zwłaszcza ochotników do sprzedaży pocałunków. Pan wie, taka budka, w której składa się pieniądze na cel dobroczynny i otrzymuje w nagrodę pocałunek – wyjaśniała Tammy. – Bardzo by się nam przydała panna Destiny...

– A pan, panie McNally, mógłby wystąpić w budce do walki z alkoholizmem – dodała Sarah Jane. – Przecież pan zajmuje się pomocą społeczną.

– Chętnie coś dam na zbożny cel.

– Bez pana obecności to żadna zabawa. Ja i Tammy obsługujemy budkę z całowaniem –

powiedziała Sarah Jane. – Jakby pan przyszedł do nas... byłoby bardzo fajnie.

– Dziękuję za zaproszenie, ale niestety, nie mogę – wymówił się Kurt.

– A ja chętnie pomogę – oświadczyła Bonnie. – Gdzie mam się zapisać?

– Elisabeth! – skarcił ją Kurt. – Co ty wyrabiasz? Zignorowała go.

– Zaraz zawiadomię Madge. – Tammy klasnęła w dłonie.

– Będzie zachwycona. Na regionalnym festiwalu brzoskwiń panna Elisabeth Destiny sprzedaje pocałunki na cele dobroczynne! Boże! Uzbieramy kupę pieniędzy. – Włożyła zakupy Bonnie do torby, a kartę kredytową położyła na ladzie. Kurt podszedł i schował ją do portfela, patrząc wściekle na rozanielone sprzedawczynię.

– Idziemy! – warknął, ujął Bonnie za łokieć i bez słowa pożegnania wyprowadził ze sklepu.

Bonnie pomachała w kierunku twarzy przyklejonych do szyby wystawowej.

– Co ty kombinujesz w tej swojej łepetynie? – grzmiał Kurt.

– Chcesz nas wystawić na widok publiczny? I to w budce z całusami. Nie masz już dość całowania każdego, kogo popadnie?

– Nie bądź takim sztywniakiem, Kurt. To zapowiada się na dobrą zabawę. Czy dawna Elisabeth uczestniczyłaby w czymś podobnym? Daję głowę, że nie. A poza tym ja nie odpowiadam za to, kogo ona dawniej całowała. Jestem Beth, a nie Elisabeth i jestem inna. Mam dość oskarżania mnie o to, czego nie pamiętam. Obarczacie mnie odpowiedzialnością za wszystkie grzechy świata. Od chwili, kiedy mnie zabrałeś ze szpitala, jesteś okrutny. I przestaję rozumieć, po co mnie zabrałeś i tu przywiozłeś.

– Bo twój lekarz na mnie to wymusił. No i zrobiło mi się ciebie żal. Ulitowałem się nad tobą.

– A właściwie, dlaczego się nade mną zlitowałeś, skoro wyrzuciłam ci tyle złego?

– Bo nikogo nie masz. Żadnej rodziny, żadnych przyjaciół. Wszyscy, którzy się kręcą koło ciebie i obskakują cię, robią to z ciekawości lub chęci zysku. Tłumy twoich wielbicieli nie mają pojęcia o prawdziwej Elisabeth Destiny. Zachwycają się twoim aktorstwem. I ja padłem jego ofiarą. Twoja uroda mnie zafascynowała. Ale ci, którzy cię poznali, tacy jak ja, Hub, Consuela, Jesse, Grant, Howie i inni, których tak okrutnie potraktowałaś, raczej mają ochotę uciekać na drugą stronę ulicy, gdy cię widzą:

– I między nami nie pozostał nawet ślad dawnej miłości?

– Nie pozostał nawet ślad – potwierdził.

– No cóż, przepraszam. Nie będę ci dłużej ciężarem. – Obróciła się na pięcie i odeszła, ocierając płynące łzy.

– Elisabeth, wróć! – zawołał za nią. – Nie masz dokąd iść. Biegła w gorącym słońcu. Kręciło się jej w głowie. Poczowała nagłą słabość. Pewno z głodu, bo nic dziś nie jadła oprócz dwóch połówek brzoskwini. Potknęła się o skraj chodnika. Wypuściła z rąk torbę z zakupami i pobiegła jeszcze szybciej.

– Stój, Elisabeth!

Usłyszała za sobą kroki i przyspieszyła. Nie miała pojęcia, dokąd biegnie. Wiedziała

tylko, że musi uciec od straszliwej przeszłości, która nęka ją na każdym kroku. Wbiegła na jezdnię.

– Uważaj! – usłyszała krzyki i obróciła głowę. Zobaczyła pędzącą w jej kierunku ciężarówkę pełną klatek z kurami. Z otwartymi szeroko ustami zamarła w miejscu. Kierowca nacisnął jednocześnie klakson i pedał hamulca. Zapiszczały opony, rozgdakały się kury, w powietrze poleciały kurze pióra.

Kurt niby gracz rugby uderzył w nią całym ciałem, odrzucając na drugą stronę jezdni. Upadła ciężko na asfalt, patrząc nieprzytomnie na ciężarówkę z piskiem hamulców przesuwaną się dokładnie tam, gdzie przed chwilą stała. Potem ciężarówka stanęła, wysiadł z niej kierowca – starszy farmer w roboczym kombinezonie – i podszedł, gniewnie gestykulując.

– Panienska zwariowała, czy co?! – wykrzyknął. – Czy panienska mnie nie widziała? Mógłbym panienkę zabić, gdyby nie ten pan... Ślepa czy co!

– Przepraszam. Nie widziałam...

– Bo trzeba patrzeć...! Gdyby nie ten pan, to z panienki byłaby teraz miazga, psiakrew!

– Niech pan przestanie krzyczeć – powiedział spokojnym głosem Kurt. – Czy nie widzi pan, że ona jest w szoku?

– Ona jest w szoku! A ja to niby nie? I pewno ta panienska albo pan zaczniecie mi zaraz grozić sprawą sądową...

– Niech się pan wreszcie zamknie – powiedział ostro Kurt, pochylając się nad Bonnie i biorąc ją w ramiona. – Beth, Beth, wszystko w porządku?

Bonnie dygotała. Dzinsy pożyczone od Consueli rozerwała na kolanach. Z dłoni odartych ze skóry ciekła krew.

Kurt postawił ją na nogi. Zachwiała się. Objął ją w pasie i głośno syknął na widok okrwawionych dłoni.

– No i co, no i co? Jak się pani czuje? – dopytywał się teraz farmer.

– Dobrze, wszystko dobrze. Tylko trzęsę się ze strachu – powiedziała.

– Ja też – przyznał farmer.

Kurt sprowadził Bonnie z jezdni na chodnik. Podniósł torbę z zakupami i ruszył w kierunku apteki na przeciwległym rogu.

W aptece panował półmrok i chłód, w powietrzu unosił się zapach syropu cytrynowego. W bocznej sali apteki znajdowała się lada, przy której na barowych stołkach siedzieli amatorzy lodów i coca-coli. W rogu stała grająca szafa, z której dobywał się głos Jerrie Lee Lewisa, śpiewającego piosenkę „Wielkie ogniste kule”. Przypomniało to Bonnie pewną scenę. Zobaczyła siebie jako małą dziewczynkę, siedzącą na podobnym stołku z winylowym obiciem w podobnym przyaptecznym lokalu.

Miała na sobie marszczoną różową sukienkę. Za kontuarem obsługiwała klientów uśmiechnięta, niezbyt ładna kobieta. Podała Bonnie gorący tost z roztopionym serem, talerzyk chipsów i szklanek wiśniowej lemoniady.

Przecież to jest ciotka Jane, przemknęło Bonnie przez głowę.

– Coś sobie przypomniałam z własnej przeszłości – powiedziała do Kurta.

– Co takiego?

– Coś z dzieciństwa. Byłam w podobnej aptece. Bywałam często, pracowała tam moja ciotka Jane.

– Zawsze mi mówiłaś, że nie masz żadnej rodziny.

– Mam ciotkę Jane – upierała się. – Albo miałam.

– Może przedtem kłamałaś. Nie byłoby to jedyne kłamstwo. No, ale na szczęście zaczynasz sobie przypominać przeszłość. Niedługo całkowicie odzyskasz pamięć.

Kurt zapłacił za plastry z opatrunkiem i płyn antyseptyczny i wrócili do samochodu. W jego wnętrzu zajął się poranionymi dłońmi Bonnie. Gdy przemywał rany, syczała, ale jego ciepła dłoń, w której trzymał opatrywaną rękę, łagodziła nie tylko ból. Wywoływała także miły dreszczyk podniecenia.

– Napędziłaś mi strachu – mruknął, zabierając się do drugiej ręki.

– Dziękuję – odparła cichutko. – Ocaliłeś mi życie.

– Po prostu nie mogłem pozwolić na unicestwienie tak pięknego egzemplarza... ludzkiej fauny...

– Zniszczyłam dzinsy Consueli.

– Dostanie nowe.

– Jestem ci winna za moje dzisiejsze zakupy...

– Nie zwracaj sobie tym głowy. – Pochylił głowę nad jej dłonią. Czują na policzku jego ciepły oddech.

Chwila wydawała się magiczna. Promienie popołudniowego słońca padały przez szybę, różowiąc deskę rozdzielczą, fotele, całe wnętrze samochodu. Skórzane fotele wydawały się przytulne i miękkie. Kosmyk włosów Kurta musnął niemal pieszczotliwie jej czoło, wywołując dreszczyk podniecenia. Cofnęła głowę, żeby lepiej przyjrzeć się profilowi mężczyzny, którego... nigdyś kochała.

Zdała sobie nagle sprawę, że nadal go kocha, być może jeszcze bardziej. Bez względu na to, co on teraz czuł do niej, ona go kocha! Gdyby tylko wróciła jej pamięć i mogła sobie przypomnieć ich wspólną przeszłość! Czyjej obecna miłość jest czymś nowym, czy dziedzictwem zapomnianej przeszłości? Czy to uderzenie w głowę wyzwoliło nowe emocje? A może mimo swego okropnego charakteru zawsze go tak kochała?

Kurt poczuł, że jest obserwowany i uniósł głowę. Spojrzał na Bonnie, sięgając spojrzeniem w głąb jej duszy, penetrując, szukając odpowiedzi...

Wstrzymała oddech. Jego usta były tak blisko... Wystarczyło lekko pochylić głowę...

Zacisnęła mocniej palce na jej dłoni. Poczwała szpileczki w palcach, rozchyliła usta.

– Elisabeth – szepnął ochryple.

– Kurt – odparła równie cicho.

Powróciło wspomnienie porannego pocałunku. Jakże pragnęła powtórzenia tego słodkiego doznania. Tamten pocałunek był namiętny i gwałtowny. Teraz chciałaby zakosztować czulego, tkliwego...

Pochyliła głowę. Byli twarzą w twarz tak blisko, że grzało ją ciepło jego skóry, czuła zapach męskiej wody toaletowej. Przygotowując się do tego, co powinno zaraz nastąpić, zwilżyła usta.

Ale Kurt siedział sztywno, ani drgnął. Usiłowała coś wyczytać w jego oczach. Odczytała niepewność, zaskoczenie. Czuła, że chciałby się odsunąć, odejść, ale nie był zdolny do żadnej reakcji.

Delikatnie musnęła wargami jego usta. Tak delikatnie, jak uczyniłby to motyl siadający na kwiatku. Zamknął oczy, zadrgał mu mięsień policzka.

– Kurt... – wyszeptała, oderwawszy się od jego ust.

– Skończ z tymi wygłupami, Elisabeth – uciął krótko i usiadł sztywno w fotelu. – Nie ufam ci.

– Tak postanowiłeś i tak ma już zostać?

– I już zostanie. – Ujął mocno kierownicę obiema rękami, aż zbieleły mu kostki palców. Z plastikowej butelki, którą przytrzymał kolanami, trysnął płyn odkażający, zalewając kolana i dżinsy. Musiał zbyt mocno zacisnąć nogi. Puścił kierownicę, poszukał korka i zamknął butelkę z resztą płynu. Drżały mu usta.

– Nadal nie wierzysz, że się zmieniłam, że jestem zupełnie kimś innym?

– W to mogę uwierzyć, ale nie wierzę w co innego. Wiem, że jeśli pozwolę na nasze zbliżenie, to prędzej czy później wróci ci pamięć. A wtedy odzyskasz tę „słodką” osobowość, jaką miałaś przedtem – zakończył ironicznie.

– Nie sądzisz, że wypadek mógł wywołać trwałe zmiany?

– Nie. – Uruchomił silnik, włączył bieg i ruszyli w drogę powrotną na ranczo.

– Nigdy już nie będę tą osobą, którą wspominasz z taką nienawiścią.

– Niepotrzebnie się trudzisz, Elisabeth. Nie mam zamiaru ryzykować. Raz sparzony przez wielką oszustkę, Elisabeth Destiny, byłbym skończonym głupcem, gdybym chciał powtórzenia tego.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kurt nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok w swoim wielkim łóżku, świadomy, że po drugiej stronie cienkiej ściany działowej śpi Elisabeth. Mimo wszystko, wbrew logice i rozsądkowi, nie potrafił przestać o niej myśleć. Ojej ustach, owocowym aromacie jej skóry i puszystych włosach.

Teraz, zwinięty w kłębek, myślał o tym delikatnym pocałunku, jaki złożyła na jego wargach po południu. Czy to naprawdę się wydarzyło?

Delikatny, niemal naiwny i dziewiczy pocałunek, który przywołał obraz domu i rodziny. Domu i rodziny, o których marzył. Raz już dał się nabrać na podobną bajeczkę. Snuła ją aktorka, Elisabeth Destiny. Ale bajkowe mgnienie tego popołudnia było inne, podsunięte przez zupełnie inną osobę...

Co będzie, jeśli wróci jej pamięć, bo wróci na pewno.

Nakazywał sobie zasnąć, ale kiedy zaciskał oczy, widział twarz Elisabeth. Jej niebieskie oczy, truskawkowe rozchylone usta i kształtny nosek.

Podparł się łokciem i włączył radio. Sypialnię wypełniła muzyka. Uniósł się, opierając na poduszce i usiłował uporządkować myśli.

Elisabeth. Kiedy się poznali, naprawdę przypominało to scenę z romantycznego filmu. To powinno mu dać do myślenia. Wszystko było starannie wyreżyserowane nie przez los, ale przez Elisabeth Destiny. On i Grant Lewis otrzymali zaproszenie na wielki dobroczynny festyn w eleganckiej dzielnicy Dallas. Było tłoczno i głośno. Kurt właśnie się z kimś witał, kiedy spostrzegł Elisabeth. Otaczała ją kilku wniebowziętych adoratorów, pośród których wydawała się zupełnie samotna. Gdy obracała głowę, blond kaskada fruwała niby anielskie włosy. Cekinowa suknia, jaką miała na sobie – oryginalny model! – lśniła w jaskrawym świetle. Podniosła głowę, ich spojrzenia się skrzyżowały. Wysunęła koniuszek języka i zwilżyła wargi. Odważne spojrzenie jej niebieskich oczu ściągnęło jego wzrok na kilka długich sekund. Kurt połknął haczyk wraz z przynętą.

Gdyby nie nastąpiło to wtedy, kiedy zdecydował się wreszcie ożenić, to potraktowałby spotkanie jak zwykle zaproszenie do flirtu bez konsekwencji. Na nieszczęście poznał Elisabeth Destiny, w czasie kiedy nie był odporny na żadne zaprosiny. Tak, Elisabeth Destiny znalazła się w odpowiednim miejscu, w odpowiednim czasie lub, jak to wolał przedstawiać Hub, Kurt znalazł się w złym czasie, w złym miejscu.

Beth. Tak teraz o niej myślał. I od wypadku – słodka Beth. Osoba, jakiej zawsze pragnął i jaką chciał widzieć w Elisabeth. Beth powracała do niego w marzeniach zawsze w długiej nocnej koszuli. Przez cienki materiał widział jej wiotką sylwetkę. Jędrne piersi, doskonałą linię bioder, długie zgrabne nogi!

Wyciągnął ramiona, a ona przychodziła do łóżka, ujmowała jego twarz w dłonie, wpatrywała się w jego oczy, oszalała go świeżym zapachem truskawek z kremem. Przyciągał ją do siebie, tulił do piersi, pokrywał pocałunkami jej twarz. Beth chichotała,

nabrmiewające sutki wypychały cienki materiał koszuli nocnej. Oszałamiał go jej dotyk, jej żar przenikający przez tkaninę, gorący oddech.

– Beth, Beth, Beth! – pojękiwał. Czyżby umarł i znalazł się w niebie? Bo jeśli nie, to w jaki sposób jest teraz w ramionach anioła?

Nagle słodki śmiech przekształcił się w złośliwy charkot.

Twarz Beth zmieniła się, stężała i oto patrzył teraz na wyszczerzoną wilczycę.

Głośno krzyknął i zerwał się z łóżka.

Był zlany potem, serce waliło mu jak szalone. Sięgnął do nocnej lampki i zapalił ją.

Ten sen odzwierciedlał jego najgorsze obawy – obawy przed ponownym zakochaniem się w Elisabeth.

Kościół! Musi przecież pójść do kościoła. Spojrzała na zegarek i odetchnęła. Dopiero siódma trzydzieści, a więc nie zasnęła.

Zaraz, zaraz...!

Usiadła na łóżku i sięgnęła ręką do obandażowanej głowy. Czy to, co przed chwilą pomyślała, oznaczało powrót pamięci? Z absolutną pewnością wiedziała, że w każdą niedzielę chodzi do kościoła. Nie wiedziała jednak do jakiego i gdzie. Nie przypominała sobie, jakiego jest wyznania. Wiedziała tylko, że powinna iść do kościoła.

Odrzuciła kołdrę, wstała i przeciągnęła się. Uśmiechała się. Przeżyła wspaniały sen z Kurtem. Sen, który mógł u każdego wywołać rumieniec.

Wzięła szybko prysznic, włożyła różowe sandały i nową różową sukienkę, a potem, zaplótłszy włosy, zeszła na dół.

Była niespokojna, wchodząc do kuchni. Przy stole w odświętnych ubraniach siedzieli już wszyscy: Kurt, Hub, Consuela i Jesse. Jak na komendę obrócili głowy w jej kierunku.

– Dzień dobry! – powiedziała wesoło. Poprzedniego wieczoru obiecywała sobie, że będzie ich traktowała serdecznie i miło bez względu na to, jak oni ją potraktują. Prędzej czy później zdobędzie ich zaufanie i przekona, że potrafi być lepsza niż tamta Elisabeth.

– Dzień dobry – odburknęli.

Kurt wstał, odsuwając z hałasem krzesło. Zlustrował ją krótkim spojrzeniem. Miał na sobie popielaty garnitur, do tego białą koszulę z niebieskim krawatem. Wyglądał wspaniale.

– Ładnie ci w tym, co masz na sobie – powiedział.

– Dziękuję.

– Co robisz tak wcześnie? Zwykle sypiasz do południa.

– Idę do kościoła.

– Do kościoła?! – Niemal opadła mu szczeka.

– Do kościoła.

– Nigdy nie byłeś z nami w kościele.

– Dajcie mi wreszcie święty spokój z tym, co było. Akceptujcie mnie taką, jaka jestem teraz.

Kurt wzruszył ramionami i usiadł z powrotem. Usiadła też Bonnie. Consuela podała jej

koszyk z owocami.

– Dziękuję – powiedziała z uśmiechem.

Consuela uśmiechnęła się. Dobry omen. Wznowiono rozmowę przerwana jej wejściem.

Po śniadaniu Bonnie pomogła Consueli posprzątać i zrobić porządek w kuchni. Hub podprowadził pod dom obszerny rodzinny samochód. Wszyscy wsiedli i wyruszono do Weatherford. W Bonnie rosło podniecenie.

Uśmiechała się do siebie. Po raz pierwszy od chwili wypadku czuła się dobrze. Z dłoni zdjęła bandaż. Okaleczenia już się zagoiły. Jej serce przepęniała sympatia do osób znajdujących się w samochodzie. To są bardzo dobrzy ludzie. Podejrzliwi wobec niej, pełni obaw, że ponownie może zrobić im przykrego psikusa, ale gotowi dać jej szansę. Czego więcej mogła żądać?

Podjechali pod kościół metodystów. Kurt wysiadł pierwszy, otworzył drzwiczki i pomógł jej wyjść z samochodu. Następnie wziął ją pod ramię i poprowadził.

Dostatnio ubrani parafianie witali ich uprzejmie. Gdy ją rozpoznano, jedni się do niej uśmiechali, inni tylko gapili. Kurt objął ją ramieniem. Co za niebiańskie uczucie...!

– Nie przynieś mi wstydu w obecności przyjaciół – szepnął. – I nie próbuj nikomu mówić, że jesteśmy ponownie razem. Wiesz dobrze, że nie ma na to najmniejszej szansy. – Następnie puścił ją i odszedł.

Jej radość natychmiast zgasła. Z trudem zachowywała na twarzy uśmiech, witając się z obcymi i wymieniając z nimi zdawkowe słowa. Na szczęście nie wszyscy obecni przed kościołem mieli ochotę uściskać jej dłoń, a wielu nie chciało się narzucać.

Dzwonek wezwał wiernych do kościoła. Bonnie zajęła miejsce w ławce obok Kurta, który patrzył tępo przed siebie z dłońmi złożonymi na kolanach. Była ciekawa, o czym też on myśli. Kiedy wszyscy zajęli już miejsca, do mikrofonu podszedł pastor.

– Witam was, moi mili – powiedział.

– Witamy ojca! – odpowiedzieli chórem zebrani.

– Mamy drobny kłopot. Nasza pianistka, Gertie Mae Leery, dziś rano upadła i złamała nogę...

Obecni wymamrotali słowa współczucia.

– Tak, to okropne. Jest w szpitalu i na pewno będzie jej miło, jeśli ją odwiedzicie. Szpital Campbell, pokój 210. W związku z tym pilnie potrzebujemy kogoś, kto by ją teraz zastąpił. Kto byłby gotów podjąć się tego zadania? – Zapadła cisza, zaskrzypiały ławki. – Nie bądźcie zbyt skromni, drodzy parafianie. Wiem, że niektórzy są utalentowanymi pianistami... Niech to będzie wasz dobry uczynek na bieżący tydzień...

W dalszym ciągu nie było chętnych.

– No cóż, trudno. Będziemy musieli śpiewać bez akompaniamentu – powiedział pastor.

– Ja mogę zagrać – zgłosiła się nagle Bonnie i natychmiast przestraszyła się własnej odwagi, ale wstała, trzymając się pulpitu ławki. Wszystkie głowy zwróciły się w jej kierunku.

Pastor wydawał się zdziwiony, ale i ucieszony, że jednak ktoś odpowiedział na jego apel.

– Serdecznie dziękuję, panno...?

- Beth – odparła i wyszła z ławki, kierując się ku ołtarzowi.
- Chodź tu, Beth, chodź! Bardzo jesteśmy radzi. I Gertie Mae będzie szczęśliwa...
- To jest Elisabeth Destiny – usłyszała Bonnie szept z ławki, obok której przechodziła.

Przy ołtarzu pastor podał jej rękę i poprowadził do pianina. Usiadła na stołku. Podniosła klapę, i ku własnemu zdumieniu zaczęła grać swobodnie, bez najmniejszego wysiłku i zdenerwowania. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że na tym utworze otwarta była stojąca na pulpicie księga hymnów.

Wierni wstali i chórem odśpiewali pieśń.

W piersiach Bonnie wezbrało uczucie, jakiego jeszcze nigdy nie zaznała. Uczucie wielkiego uduchowienia. Serce waliło jak młotem, po skórze przebiegał dreszcz. Rzuciła okiem w kierunku ławek. Natychmiast wyłowiła twarz Kurta, Huba, Consueli i Jesse'a. Patrzyli na nią zaskoczeni, a twarz Kurta wyrażała zdumienie.

Uśmiechnęła się. Do nich, do siebie, do świata, a spod jej palców płynęła cudowna, podnosząca na duchu muzyka.

Coś bardzo dziwnego wydarzyło się Elisabeth Destiny. Kurt nie wierzył własnym oczom. Czy to możliwe, żeby Elisabeth z dnia na dzień przemieniła się w doskonałą pianistkę? Czy uderzenie w głowę mogło być przyczyną podobnego fenomenu?

I dlaczego zdecydowała się na coś tak niekonwencjonalnego, jak ten popis przed parafianami kościoła metodystów? Gdyby jej się nie udało, wyszłaby na idiotkę. A Elisabeth Destiny nie lubiła upokorzeń.

Jak pięknie wyglądała Beth w tej różowej sukience, ze splecionymi i upiętymi złotymi włosami, które lśniły w promieniach słońca przenikającego przez witrażowe okno.

Słuchał uważnie, gdy z niesłychaną łatwością grała kolejne hymny, wydobywając piękne tony ze starego kościelnego instrumentu. Hub trącił go łokciem i zapytał:

- Co się tu dzieje? Ja już nic nie rozumiem.

Kurt wzruszył ramionami, ponieważ i on tego nie rozumiał.

Ostatnie wydarzenia wykraczały poza ramy jakiegoś diabelskiego planu, jaki Elisabeth mogłaby ułożyć, by zwrócić na siebie uwagę. I absurdem byłoby myśleć, że w ciągu sześciu tygodni nauczyła się tak dobrze grać. A wiedział na pewno, że nie umiała grać na żadnym instrumencie...

Elisabeth zmieniła się pod każdym względem. Oprócz tego, że inaczej się zachowuje, porusza i ubiera, wygląda teraz jakby zgrabniej, ma chyba bardziej kształtny nos i pachnie zupełnie inaczej – truskawkami, a nie egzotycznymi perfumami.

Poczuł fizyczne podniecenie. I pożądanie, które zagłuszyło myśli.

Pastor powrócił do pulpitu i Elisabeth zakończyła ostatni hymn. Nadal siedziała przy pianinie skupiona, z pochyloną głową.

Kurt poczuł dumę. Poprawił krawat i uśmiechnął 4ię. Niegdyś przyciągnęła go jej uroda. Potem, kiedy zrzuciła maskę, pluł sobie w brodę, że dał się nabrać na pozory. Teraz poczuł nagle szacunek do kobiety na stołku przy pianinie. Beth była piękna i miała piękne wnętrze.

Kimże jest ta tajemnicza istota?

Ale jeszcze nie był pewny siebie. Z jednej strony pragnął Elisabeth, tak jak nigdy dotąd nie pragnął żadnej kobiety, z drugiej strony bał się jej, bo go zraniła, oszukała i nie mógł jej zaufać mimo widocznych zmian charakteru.

Z zaciśniętymi pięściami słuchał kazania, nie rozumiejąc ani słowa, ze wzrokiem utkwionym w Elisabeth.

To przyjęcie przed rokiem, kiedy się poznali... Podeszła do niego, trzymając w dłoni kieliszek szampana, wskazującym palcem dotknęła jego gorsu, zwilżyła wargi i w najlepszym stylu Marilyn Monroe westchnęła, po czym powiedziała:

– Ty, Kurcie McNally, jesteś moim przeznaczeniem. Przeznaczenie, czyli Destiny, jak jej sceniczne nazwisko.

Czyżby i ona miała być jego przeznaczeniem? Wzdrygnął się na wspomnienie tamtej sceny.

– Tylko spokój może cię uratować, szefie – mruknął mu do ucha Hub, dotykając dłonią ramienia. – I nie pozwól jej sprowadzić się na bezdroża.

Jakże Hub doskonale go znał. Spędzili razem dwadzieścia cztery lata, dzielili wszystkie życiowe triumfy i porażki. Nie można było sobie wyobrazić bardziej zżytych ludzi. Hub miał rację. Trzeba się wystrzegać Elisabeth Destiny, bo mimo zmian, jakie w niej zaszły, jest tym samym cwany graczem.

Za plecami skrzypnęły otwierane i potem zamykane kościelne drzwi. Hub odwrócił się, żeby zobaczyć, kto tak późno wszedł. Szepnął do Kurta:

– Trzymaj się, stary, przyszedł Grant Lewis.

Z kolei Kurt obejrzał się i zobaczył w przejściu między ławkami swego byłego współnika i kochanka Elisabeth...

Wierni powoli zaczęli opuszczać kościół. Bonnie wstała i ruszyła w kierunku ławki, w której pozostawiła Kurta. Uśmiechała się uszczęśliwiona. Od dawna nie czuła się równie wspaniale. Wydobywanie melodyjnych tonów z pianina było ożywczym eliksirem dla jej duszy. Zyskała nowe siły. I mimo iż sobie nie przypominała, by przedtem kiedykolwiek grała, wiedziała, że w jej życiu instrumenty muzyczne odgrywały ważną rolę, chociaż Kurt jej powiedział, że Elisabeth Destiny nie ma słuchu.

Minęła przystojnego mężczyznę. Uśmiechnął się do niej, ale nie zwróciła na to uwagi, szukając wzrokiem Kurta. Ławka, w której siedział, była teraz pusta.

Gdzież wszyscy poszli? Mężczyzna, którego minęła, podszedł do niej. Zmarszczyła brwi i ruszyła szybko do wyjścia, gdzie otoczyło ją kilka osób. Jedni prosili o autograf, inni gratulowali kościelnego występu, jeszcze inni chcieli tylko popatrzeć na nią z bliska.

Chcąc być miłą, Bonnie uśmiechała się, podpisywała się na książeczkach do nabożeństwa i półsłówkami odpowiadała na pytania. Jednak przez cały czas rozglądała się za Kurtem. Nigdzie go nie było. Przyszedł natomiast pastor, by jej podziękować i przedstawić rodzinie. Cierpliwie wytrzymała piętnaście minut, grzecznie słuchając i zdawkowo odpowiadając.

Wreszcie wierni się rozeszli, pastor się pożegnał i Bonnie została właściwie sama. Wtedy zobaczyła przystojnego mężczyznę, którego dostrzegła w kościele. Stał z boku i przyglądał się jej. Był wzrostu Kurta, ale szczuplejszy. Miał ciemne włosy i bardzo ciemne oczy. Coś w jego zachowaniu wywołało w niej niepokój.

– Cześć, Elisabeth – powiedział, podchodząc i ujmując jej dłonie w swoje ręce. – Kiedy się tu zjawiałaś?

– Bardzo mi przykro, ale... nie przypominam sobie pana. – Uśmiechnęła się niepewnie.

Mężczyzna wybuchnął głośnym śmiechem.

– Ale zalewasz, kochanie. Znam każdy szczegół twojego ciała, a ty mnie sobie nie przypominasz! Kapitalne!

– Miałam wypadek. Cierpię na amnezję.

– Ooo! I tym sposobem wkradłaś się znowu w łaski Kurta. Świetny pomysł! Wprost genialny, moja droga. Ale ty zawsze byłaś spryciarą. A dzisiaj, jak widzę, wspaniale odgrywasz nową rolę. Rolę pobożnej parafianki. Chylę przed tobą głowę.

– Wolałabym, żeby pan się do mnie zwracał per „panno Destiny”. A w ogóle nie lubię pana.

– Świetnie, wspaniale, jesteś cudowna!

Mężczyzna chwycił ją za rękę. Bonnie usiłowała się wyrwać, ale on nie puszczał. Rozpaczliwie rozglądała się dokoła, lecz była sama z tym obcym mężczyzną.

– Niech pan mnie puści! – krzyknęła. Nie posłuchał.

– Nie mogłem uwierzyć własnym uszom, kiedy powiedziano mi, że znowu pojawiłaś się w Weatherford. Musiałem przyjść i osobiście sprawdzić...

– Kim pan jest? – Ze strachem patrzyła na mężczyznę, który trzymał jej rękę w obu dłoniach niby w kleszczach. – Nie znam pana!

– Daj spokój, dziecinko. McNally jest może na tyle łatwowierny, że daje się nabrać na kawał z amnezją, ale nie ja.

Bonnie nagle zrozumiała, że to musi być człowiek, z którym rzekomo miała romans! Wzdrygnęła się z obrzydzeniem. Jak kiedykolwiek mógł się jej podobać?

– Już wiem. To jest pan...

– Grant Lewis we własnej osobie. Właściwie to bardzo mi się podoba twoje zagranie, dziecinko. Bardzo podniecające, niesłychanie pomysłowe. – Pochylił się. Odurzyła” ją silna woń wody kolońskiej.

– Niech pan mnie natychmiast puści! – powiedziała głośno stanowczym tonem, mając nadzieję, że ktoś usłyszy i przyjdzie jej z pomocą.

– Dalej, dalej, kochanie, bardzo mnie to podnieca... Pamiętasz, jak się bawiliśmy w pirata i zagubioną dziewczicę? – Przechylił głowę i mocno pocałował ją w usta.

Z całej siły ugryzła go w dolną wargę. Odskoczył, wrzasnął i zasłonił dłonią usta.

– Ty, ty, ty... Co ty wyrabiasz?! – wykrzyknął.

– Wyjaśnijmy sobie parę rzeczy, panie Lewis – powiedziała dobitnie Bonnie. – Bez względu na to, co było, jeśli w ogóle było, od tej chwili się nie znamy. Rozumie pan?

– Rozumiem. Podnosisz stawkę, grasz rolę kobiety trudnej do zdobycia...

Nie odpowiadając, obróciła się na pięcie i chciała odejść, ale chwycił ją za łokieć i po prostu rzucił sobie w ramiona. Ciemne oczy błyszczały mu gniewnie.

– Zacznę krzyczeć – ostrzegła.

– Przed kościołem? To nawet bardzo ekscytujące. Może wejdziemy nawet do kościelnego przedsionka. – Pociągnął ją, otworzył drzwi i wepchnął Bonnie do środka.

– Wytoczę panu sprawę o seksualne molestowanie...

– Nie pozwolę, żebyś mnie tak traktowała, Elisabeth Destiny. Ja ci pokażę, ty...!

– Niech pan mnie puści, niech pan mnie puści! – krzyczała i rozpaczliwie wyrywała się, próbując nawet kopać mężczyznę w kostkę. Nie reagował.

– Chyba słyszałeś, Lewis. Pani grzecznie cię prosi – rozległ się grzmiący głos Kurta, który cicho wszedł bocznymi drzwiami.

Grant Lewis zastygł, Bonnie umilkła i znieruchomiała. Serce zabiło jej żywiej. Ucieszyła się z pojawienia Kurta, mimo że był wściekły.

– Natychmiast ją puść! – rozkazał Kurt, podchodząc bliżej. Grant Lewis wykonał polecenie. Bonnie lekko zatoczyła się, ale stanęła z boku.

Obaj mężczyźni stanęli oko w oko.

– Jeszcze ci było mało? – spytał Kurt.

– Nie ma się o co pieklić, człowieku. Może się i omyliłem...

– Bardzo się omyliłeś. – Kurt stał wyprostowany, w rozkroku, z dłońmi zaciśniętymi w pięści.

– Ja nie wiedziałem, że ona ma amnezję...

– Kłamiesz. Ale teraz już wiesz. – Kurt postąpił krok do przodu.

– Już chyba sobie pójdę... – wyjąkał Lewis.

– Bardzo rozsądna decyzja.

Lewis szybko umknął, a Kurt zwrócił się sucho do Bonnie:

– Idziemy!

– Chyba nie sądzisz, że w jakikolwiek sposób go zachęcałam? – spytała.

– To nie czas i miejsce na podobną rozmowę. – Odwrócił się i wyszedł pierwszy.

– Poczekaj! – zawołała za nim Bonnie. – Właśnie, że teraz jest czas i miejsce. Chcę o tym porozmawiać.

– Lepiej milcz – warknął, odchodząc spiesźnie, tak że z trudem za nim nadążała.

Boże drogi, że też musiało się to wydarzyć właśnie w czasie, kiedy zaczęła zdobywać zaufanie Kurta i jego przyjaciół. Grant Lewis wszystko popsuł. Trzeba teraz zaczynać od początku, przekonać Kurta, że żaden Grant jej nie interesuje, że interesuje ją tylko on, Kurt.

Ogarnął ją smutek. Szła za Kurtem, który zwolnił kroku, głowę miała opuszczoną. W pewnej chwili spojrzała w lipcowe rozświetlone niebo, zatrzymała się i powodowana nagłym impulsem przysięgła sobie, że nie zrezygnuje, bo słońce to nadzieja, a tam, gdzie jest nadzieja, jest i szansa odniesienia sukcesu.

Kurt wszystko widział zza kościelnego węgła i wiedział, że Bonnie swym zachowaniem nie zachęcała Granta Lewisa. I tylko dlatego pospieszył jej na ratunek.

Zaraz po nabożeństwie odesłał przyjaciół do samochodu, a sam stanął z boku, by popatrzeć, co zrobi Grant Lewis, no i jak zachowa się Elisabeth. Elisabeth całkowicie zignorowała Lewisa, jakby go nigdy w życiu nie widziała. Kurt bacznie obserwował twarz Elisabeth i nie zauważył na niej najmniejszego śladu jakiegokolwiek emocji, gdy Lewis do niej podszedł. Była autentycznie oburzona, gdy ją pocałował.

Zazgrzytał zębami. Dawna zazdrość nadal go gryzła. Jej zdrada wówczas bardzo go zabolą, ale czy wolno mu teraz jej to wypominać, skoro nawet nie pamiętała tego epizodu. Elisabeth, jego ukochana, jego narzeczona, i Grant Lewis, przyjaciel i współnik w interesach, spleceni w miłosnym uścisku w jego własnym łóżku! A najgorsze było to, że kiedy ich nakrył, Elisabeth roześmiała mu się w twarz i zaczęła pokpiwać. Na to wspomnienie krew nabiegła mu do twarzy.

– Kurt! – usłyszał za sobą. Zatrzymał się, obrócił.

– Jest mi okropnie przykro, Kurt... – powiedziała Bonnie.

– Nie zrobiłaś nic złego.

– Nie przepraszam za dziś, przepraszam za wczoraj, za przeszłość. Nie chce mi się wierzyć, bym mogła... bym mogła... z takim człowiekiem...

Kurt skinął tylko głową. Cóż miał powiedzieć? Lekki wiaterek owinał jej suknię wokół nóg. Elisabeth wydawała mu się teraz piękniejsza niż kiedykolwiek. Poczł krople potu występujące na czoło.

– Pomóż mi, Kurt – powiedziała, podchodząc blisko.

– W czym?

– Pomóż mi odzyskać pamięć.

– Czy naprawdę tego chcesz?

– Tak. Abym mogła prowadzić normalne, spokojne życie. Człowiek musi mieć przeszłość i być zakotwiczony w życiu. Bez pamięci, przeszłości, jest się zagrożonym...

– Możesz nie być zadowolona ze swojej przeszłości – zauważył.

– Na pewno nie będę, ale muszę ją znać. Muszę się dowiedzieć, skąd umiem grać na pianinie, dlaczego pamiętam ciotkę, która, jak twierdzisz, nie istnieje. Pomożesz mi? To może być dla nas obojga bolesne, ale sama nie podołam. – Wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni. – Pomożesz? Bardzo cię o to proszę.

Długo się wahał, ale wreszcie wykrztusił, że pomoże. Boże drogi, nadal nie potrafi jej niczego odmówić!

– Jutro pojedziemy do doktora Freely!

– Dziękuję – odparła cieniutkim głosem.

A Kurt zastanawiał się, do czego może go doprowadzić zbyt pochopnie dana obietnica pomocy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gdy w poniedziałek tano wchodzili do kliniki doktora Freely'ego, Bonnie trzymała Kurta za rękę. Mocny uścisk jego dłoni podnosił ją na duchu.

Poczekalnia była duża i bardzo słoneczna. Po zarejestrowaniu się u recepcjonistki usiedli na kanapie obok stolika z pismami. Bonnie rozsiadła się wygodnie i głęboko odetchnęła.

– Wszystko w porządku? – spytał Kurt.

– W jak najlepszym – odparła i obdarzyła Kurta uroczym uśmiechem. Od epizodu z Grantem Lewisem Kurt był bardzo opiekuńczy.

– Chcesz jakieś pismo?

– Chętnie.

Podał jej „Elegantkę”.

– Czy mogę prosić o „Dom i Ogród”?

– Widzę, że zmieniły ci się gusta. – Był wyraźnie zaskoczony. – Ale proszę.

– Dziękuję.

I on rozsiadł się wygodnie i z zainteresowaniem przeglądał „Milionera”. Bonnie nie była jednak zadowolona ze swojego wyboru. Położyła pismo na kolanach i raz po raz rzucała z ukosa spojrzenie na zagłębionego w lekturze Kurta. Zauważył to i spytał:

– O co chodzi?

– Nie, nic.

– Mam coś na twarzy?

Owszem miał. Miał wspaniałe usta, przenikliwe oczy i kształtny nos. Ale tego nie powiedziała, tylko potrząsnęła głową.

– Chcesz inne pismo?

– Nie, dziękuję.

Była zła na siebie, że przygląda się Kurtowi jak zadurzona pensjonarka, ale miała nieodpartą ochotę przeczesać palcami jego jedwabiste włosy, pieścić jego twarz, językiem obrysowywać te wspaniałe usta.

Rozejrzała się po poczekalni, by oderwać się od niebezpiecznych rozmyślań o tym... gdyby Kurt... Wzrok jej padł na starszą kobietę siedzącą naprzeciwko, a potem na młodego mężczyznę pod oknem. Zmrużyła oczy, wszystko się rozmazywało. Zauważył to Kurt.

– Twój wzrok pogorszył się od wypadku, prawda? – spytał.

– Niezbyt dobrze widzisz?

– Chyba masz rację.

– Trzeba zbadać wzrok. Na pewno potrzebujesz szkieł.

– Szkieł?

– Szkieł kontaktowych, oczywiście.

– Wystarczą zwykłe okulary.

– Tylko do czasu powrotu na plan filmowy.

Ta uwaga ją zaskoczyła, ponieważ zupełnie nie myślała o filmie. Była zbyt przejęta problemami osobistymi, by troszczyć się o karierę zawodową.

Kariera zawodowa! To dziwnie brzmi.

– Nie wiem, czy będę miała ochotę powrócić do zawodu – powiedziała.

– Ty miałabyś porzucić granie? Równie dobrze można spodziewać się, że jaskółka przestanie latać.

– Chyba popełniłam błąd, dając pierwszeństwo karierze przed życiem osobistym.

– Nie wiesz, co mówisz.

– Wiem. Ludzie są ważniejsi niż kariery. Ty jesteś dla mnie ważny, Kurt. – Chociaż często o tym ostatnio myślała, to jednak dopiero teraz po raz pierwszy pozwoliła sobie powiedzieć to głośno.

– Pod wpływem chwili opowiadasz głupstwa. Wiem, że aktorstwo jest dla ciebie wszystkim. Wiem i musiałem się z tym pogodzić od początku, Elisabeth. Wiem też, że kiedy odzyskasz pamięć, to wsiądziesz w pierwszy samolot do Hollywood...

– Nie sądzę.

– Zobaczysz, że mam rację.

– A jeśli nie odzyskam pamięci? Czy wówczas mogę pozostać na farmie? – Wstrzymując oddech, czekała na odpowiedź, od której tak wiele zależało.

– Jestem pewien, że odzyskasz pamięć – odparł.

– A jeśli jednak nie?

Od odpowiedzi wybawiła Kurta pielęgniarka, która skinęła na Bonnie. Poszli za nią do gabinetu lekarskiego. Pielęgniarka wskazała Bonnie fotel, a Kurtowi wysoki stółek i wyszła. Czekali chwilę. Otworzyły się drzwi i wszedł rozpromieniony doktor Freely.

– Witam, panno Destiny. Witam pana, panie McNally. Odwzajemnili powitanie. Doktor zasiadł za biurkiem, oparł łokcie na blacie, złożył palce obu dłoni.

– Słucham państwa. Pielęgniarka mi powiedziała, że sygnalizował pan przez telefon ciekawe symptomy u panny Destiny. Jakież to?

– Ciekawe to za mało – mruknął Kurt. – Nazwałbym je raczej niesamowitymi.

– Proszę, proszę.

– Umiem grać na pianinie – powiedziała Bonnie.

– Przed wypadkiem Elisabeth nie miała słuchu. Nie potrafiła powtórzyć najprostszej melodii – szybko wyjaśnił Kurt.

– Ooo!

– Czy to się zdarza, że przy amnezji ludzie odnajdują w sobie nowe talenty? – spytał Kurt.

– Raczej nie – odparł doktor. – Chociaż trudno to wykluczyć... Ludzki umysł jest bardzo złożonym i nadal pełnym tajemnic organem...

– To znaczy, że pan nie wie – skomentował Kurt, na co doktor Freely się obruszył.

– Być może panna Destiny grała jako dziecko, a potem dopiero straciła słuch. Tak bywa.

– To nie wszystko. Elisabeth miała doskonały wzrok, a teraz ledwo widzi to, co wisi na

ścianie odległej o kilka metrów.

– Hmm... Uderzenie w głowę może tłumaczyć pojawienie się krótkowzroczności. Powinna pani iść do okulisty.

– Czy to pogorszenie wzroku jest czasowe, czy stałe?

– Prawdopodobnie stałe. Bardzo mi przykro. Czy miała pani jakieś przeblyski pamięci? Czy pojawiły się jakieś sceny z przeszłości?

– Owszem. Bardzo dziwne – odparła Bonnie.

– Niech mi pani opowie.

Zerknęła na Kurta, który skinął głową. Zapisła wizytę w aptece w Weatherfor i skojarzenia, jakie wtedy miała.

– Dziwne w tym wszystkim jest to, iż Kurt zapewnia mnie, że nigdy nie miałam żadnych ciotek. Jak więc mogę sobie przypominać kogoś, kto nie istnieje?

– A może przypomniała sobie pani jakąś scenę z filmu, w którym pani grała? Jest pani aktorką, czasami sceny z grywanych ról mogą wydawać się jak przeżycia osobiste...

Nie pomyślała o tym! Teoria doktora Freely'ego bardzo ją podnieciła. Napotkała wzrok Kurta.

– Czy ja występowałam w jakimś filmie, którego akcja rozgrywałaby się w aptece?

– Owszem. „Niektóre potrafią kochać”.

– Nie przypominam sobie.

– Mam kasetę w domu.

– Doskonale. Niech pan pokaże ten film pannie' Destiny. Może to przywróci jej pamięć.

– Czy mogłabym jeszcze coś zrobić, by pobudzić pamięć?

– Owszem. – Doktor Freely zwrócił się do Kurta: – Niech pan pokaże pannie Destiny miejsca, w których poprzednio była. Niech pan zadaje jej konkretne pytania i pokazuje ludzi, których musiała znać.

– Już to robiliśmy – odparł Kurt. – Nic to nie dało.

– Niech pan to robi nadal. Przywracanie pamięci to powolny proces.

– A jeśli jej nigdy nie odzyskam? – spytała Bonnie.

Przerażało ją to, ale oznaczało w pewnym sensie wyzwolenie. Z jednej strony czuła lęk przed pozostaniem w mroku przeszłości, z drugiej jednak nęciła szansa rozpoczęcia nowego życia. Gdyby miała nie odzyskać pamięci, to mogliby z Kurtem rozpocząć wszystko od początku...

– Jeśli przez miesiąc ta terapia nie przyniesie rezultatów, będziemy mogli spróbować hipnozy – powiedział doktor Freely.

– Mamy czekać cały miesiąc! – wykrzyknął Kurt. – A dlaczego nie spróbować hipnozy już teraz?

Bonnie urażona spojrzała na Kurta. Najwidoczniej nie chciał, by tak długo przebywała na farmie.

– Chociaż hipnoza okazuje się często pomocna, kiedy inne metody zawodzą, to jednak ma uboczne skutki. Bywa, że pamięć powraca tak nagle i tak szeroką falą, że pacjent doznaje

szoku – wyjaśnił doktor Freely ze zmarszczonymi brwiami. – Radziłbym poczekać.

– Co o tym myślisz, Elisabeth? – spytał Kurt.

– Powolny powrót pamięci byłby chyba lepszy – powiedziała. – Miałabym czas na przystosowanie się do nowych sytuacji, jakie mogłyby powstawać...

– Mądrze powiedziane – przerwał jej doktor Freely. – Poza tym nie ma żadnej gwarancji, że hipnoza otworzy, jak to się mówi, pacjenta.

– Jaka jest możliwość, że w konkretnym przypadku pacjentka nigdy nie odzyska pamięci? – zapytał Kurt.

Bonnie odniosła wrażenie, że Kurt zadał to pytanie z pewną nadzieją w głosie.

– Bardzo trudno to powiedzieć. – Doktor Freely był mistrzem w wygłaszaniu ogólników.

– Niech pan zaryzykuje – nalegał Kurt. – I niech pan nam powie, ile za, ile przeciw?

Kurt powiedział „nam”! Czyżby uważał, że to jest i jego sprawa? Czy też chodziło mu o to, żeby jak najszybciej się jej pozbyć?

– No cóż, z mojego doświadczenia mogę powiedzieć, że około dziewięćdziesięciu procent moich pacjentów odzyskuje pamięć. Wcześniej czy później...

– Wcześniej czy później?

– Miałem jednego pacjenta, który odzyskał pamięć po dwudziestu latach...

– W jaki sposób ją odzyskał? – zapytał Kurt.

Wstał, podszedł do Bonnie i położył jej rękę na ramieniu. Była zaskoczona i szczęśliwa. Po raz pierwszy, od chwili gdy odzyskała przytomność na twardym chodniku, poczuła się mniej samotna.

– Zupełnie spontanicznie.

– Czy w większości przypadków właśnie w ten sposób się dzieje? – zapytała Bonnie.

– Tak – odparł doktor. – Potrzeba czasu i jeszcze raz czasu, panno Destiny.

Potrzeba czasu, a czasu nie miała wiele. Kurt postawił sprawę jasno: jej pobyt na ranchu nie będzie trwał wiecznie. W każdej chwili może poprosić, by opuściła dom. Dalej musiałaby sama walczyć z przeciwnościami. Na myśl o tym przenikał ją lodowaty chłód.

– Mają państwo jeszcze jakieś pytania? – Doktor Freely wstał i położył dłoń na klamce. – Nie? W takim razie do widzenia. Jeśli pojawią się jakieś problemy, to proszę dzwonić o każdej porze dnia i nocy. Zostanę powiadomiony, jeśli będzie to poza godzinami pracy. A tymczasem proszę zagłębiać się w przeszłość razem z panem McNally’em.

Zagłębiać się w przeszłość razem z panem McNally’em! Zadanie w zasadzie podniecające, ale Bonnie bała się, co też może odkryć.

Podziękowali doktorowi, który pożegnawszy ich, czym prędzej się ulotnił.

– Wszystko będzie dobrze, Elisabeth – powiedział Kurt. – Zobaczysz. Nim się obejrzyysz, będziesz z powrotem w Hollywood i całkowicie o mnie zapomnisz.

– Wcale tego nie chcę.

– Z pewnością chcesz, tylko jeszcze o tym nie wiesz.

– Ja chcę zostać z tobą w Teksasie!

– Tak mówisz, bo czujesz się zdezorientowana i zagubiona. Kiedy odzyskasz pamięć,

wszystko znacznie wyglądać inaczej.

– Ja nie chcę odzyskiwać pamięci – powiedziała zdecydowanie.

– Chcesz, chcesz.

– Nie chcę, jeśli ma to oznaczać, że ciebie stracę. Patrzyli na siebie. Coś się z nią działo. Coś, czego nigdy przedtem nie doświadczyła, a w każdym razie nie miała świadomości, by doświadczyła.

– Wcale nie jestem ci potrzebny – burknął. – Po prostu chwilowo czujesz się osamotniona i bezbronna.

– Tak. Jestem osamotniona. Czuję się bezbronna.

Kurt ujął jej dłoń i mocno zacisnął na niej palce. W jego oczach dostrzegła ból i wiedziała, że ona jest tego sprawczynią.

– Wiesz co, Elisabeth? Proponuję, abyśmy korzystali z kolejnych dni... Dzień po dniu. Zobaczymy...

– Zapewniam cię, że teraz wszystko będzie inaczej. Przysięgam – powiedziała.

– Nie składaj obietnic, których mogłabyś nie dotrzymać. I – Puścił jej dłoń i odszedł kilka kroków.

Potem machnął ręką, odwrócił się i wyszedł z gabinetu. A Bonnie za nim.

Przed umówioną wizytą u okulisty Kurt zabrał ją na lunch do ogródka na dachu przy Siódmej Ulicy. Siedzieli pod pomarańczowo-zielonym parasolem, patrząc na panoramę Forth Worth.

Wiał lekki wiaterek. W skrzynkach na parapecie tańczyły na wietrze różnokolorowe bratki. Purpurowo-biały rękaw powiewał na metalowym maszcie, wskazując kierunek wiatru. Byli chyba jedynymi „turystami”. Przy stolikach dokoła siedzieli biznesmeni w garniturach i kobiety w kostiumach, z teczkami u stóp, i zawzięcie dyskutujący o interesach. Szczękały nakrycia, z głośników płynęła klasyczna muzyka.

Powinna to być miła chwila – oddech między wizytami u lekarzy. Tymczasem siedzieli w milczeniu. Kurt nie wiedział, co powiedzieć, Bonnie nie miała zamiaru powtarzać, że się zmieniła i że nie chce odzyskiwać pamięci.

Kurt żałował swego zachowania w gabinecie doktora Freely’ego. Nie chciał zrobić przykrości Elisabeth. Prawdę mówiąc, marzył o tym, aby ta słodka istota, utalentowana pianistka, pozostała z nim na zawsze. I to go właśnie przerażało.

Chociaż był już całkowicie przekonany, że Elisabeth nie udaje amnezji, bał się po raz wtóry ryzykować. Zgoda, tym razem miał do czynienia z zupełnie inną Elisabeth, ale kto mu może zagwarantować, że po odzyskaniu pamięci nie przekształci się w jędzę. Wpadłby okropnie. Chyba jeszcze gorzej niż za pierwszym razem. Musi być ostrożny, nie wolno mu dać się w nic wciągnąć. I przede wszystkim nie wolno mu się angażować.

Zamówili tak zwane klubowe kanapki i herbatę z lodem, ale Bonnie zjadła bardzo mało. Z pozostawionego chleba oderwała skórkę i drobiąc ją na kawałki, okładała nimi brzeg talerza. Kurt także nie miał wielkiego apetytu, osłodził natomiast herbatę podwójną porcją

cukru i dobrze wymieszał.

- Dziś wieczorem pooglądamy sobie twoje filmy. W każdym razie ten z apteką.
- Możemy – odparła krótko.
- Czy ty płaczesz? – zaniepokoił się, widząc, że trzyma głowę opuszczoną i jakby drży.
- Nn-nie...
- Spójrz na mnie. Tylko potrząsnęła głową.

Sięgnął przez stół i palcami uniósł jej podbródek. Oczy miała pełne łez. Wiele musiało już spłynąć po policzkach, na których widać było mokre ścieżki. Dlaczego ona musi być taka piękna, nawet wtedy gdy płacze?

- Mów, co cię trapi.
- Tyle straciłam. I tyle ci sprawiłam bólu. Nigdy nie odkupię moich win.
- Jakoś to wszystko przeżyłem. – Był przerażony tym, że pragnie porwać ją w ramiona i tulić, póki kelner ich nie rozdzieli. Nie mógł przestać myśleć o tym, jak cudownie byłoby scałowywać jej łzy, przeczesywać palcami jedwabiste blond włosy... I kochać się z nią, kochać... Zamiast tego wszystkiego, popijał słodką zimną herbatę, usiłując wymazać ten cudowny obraz.

To tylko litość, wmawiał sobie. Czuję tylko litość, nic więcej.

Bonnie otarła oczy wierzchem dłoni. Dziwne, że ma tak i krótko obcięte paznokcie. Zawsze nosiła długie, czerwone. Nigdy nie zauważył, że ma takie małe ręce. I przeguby jej dłoni! Są blade i delikatne. Gdyby teraz pocałował je, poczułby słodki zapach truskawek...

Przestańże, McNally! Do cna zgłupiałeś! Odchrząknął, spojrzał na zegarek, byle tylko odwrócić wzrok od twarzy Elisabeth.

- Wizyta u okulisty za pół godziny. Idziemy? – spytał.
 - Możemy iść.
- Dał znak kelnerowi, że prosi o rachunek.
- Zapisuję wszystko, co ci jestem winna. Obiecuję zwrócić, gdy sprawy się wyjaśnią.
 - Nie brak mi pieniędzy, Elisabeth – powiedział. – Nie musisz mi nic zwracać.
 - Nie chcę ci być nic winna – oświadczyła.

Jej słowa go uraziły. Zawsze raziła go ta okazywana przez Elisabeth niezależność. Porzucony przez matkę, gdy miał dziesięć lat, wychował się w sierocińcu, podświadomie tęsknił do wspólnoty z drugą osobą, marzył o rodzinie. Nie chodziło mu o to, aby jego żona była osobą od niego całkowicie zależną, o nie. Ale niech będzie kobietą, która nada sens jego życiu. Niech to będzie wspólnota. Elisabeth Destiny nie była taką kobietą. Ani przedtem, ani po wypadku. Aktorstwo więcej dla niej znaczy niż rodzina, wspólnota...

Na twarzy Bonnie pojawił się dziwny wyraz, ale nie powiedziała nic. Bez słowa wyszła z restauracji. Kurt zawiózł ją do okulisty i czekał w poczekalni przed gabinetem.

Wyjął z kieszeni telefon komórkowy i połączył się z biurem. Przez kilka minut omawiał szczegóły proponowanej inwestycji.

Potem zadzwonił do biura ochrony środowiska. Ale przez cały czas miał przed oczami twarz Elisabeth Destiny. Wreszcie schował aparat do kieszeni, wstał i zaczął się przechadzać.

Był niespokojny. Wiedział, że idiotyzmem jest myślenie, iż może liczyć na przyszłość z Elisabeth, ale ilekroć się uśmiechała, topniało mu serce i wbrew logice snuł marzenia... Na głos powiedział, że jest durniem, i jakaś starsza pani, czekająca na wizytę u lekarza, przyjrzała mu się podejrzliwie i czym prędzej położyła na kolanach leżącą obok na krześle torebkę.

Kiedy Elisabeth wyszła od lekarza, podjął już decyzję. Bez względu na to, jak kusząca może być perspektywa życia z nią, jak reagować będzie jego serce na jej urok, nie podda się żadnym romantycznym porywom’.

– No i co? – spytał, gdy do niego podeszła.

– Krótkowzroczność. Lekarz nazwał to myopią.

– I przyczyną jest wypadek?

– To jest właśnie bardzo dziwne. Powiedział, że chyba nie, że od lat powinnam nosić okulary.

– Bardzo dziwne. Przecież jeszcze niedawno widziałaś najodleglejsze przedmioty.

– Owszem, okulista przyznał, że nie jest wykluczone, iż wypadek i tak dalej, ale bardzo mało prawdopodobne. – Pokazała mu receptę. – Muszę kupić szkła. Pomożesz mi wybrać oprawkę?

– Czy jednak nie wolałabyś szkieł kontaktowych?

– Nie mam najmniejszej ochoty pakować do oczu plastyku.

Kurt wsunął ręce w kieszenie i sprawiał wrażenie zmieszanego czy zaniepokojonego. Bonnie doszła do wniosku, że trudno go rozgryźć. W jednej minucie był miły, chciał się otworzyć, w następnej sprawdzał, czy oddzielający go od niej pancierz jest dostatecznie szczelny. W gabinecie doktora Freely’ego był czuły i opiekuńczy. W czasie lunchu zamknięty w sobie, niemal wrogi. Teraz widziała, jak się od niej odwraca i patrzy w przestrzeń.

Jeden krok do przodu, dwa do tyłu. Czy nadejdzie chwila, kiedy zaczną ze sobą szczerze rozmawiać? Bonnie zaczynała w to wątpić. Gdyby tylko jej zaufała... Gdyby... Żale nic tu nie pomogą. Trzeba akceptować sytuację taką, jaka jest, i odkupić winy przeszłości.

Przyszła jej do głowy myśl: a co by było, gdyby spróbowała go uwieść?

Bardzo ją to podekscytowało. Czy odważyłaby się to zrobić? Poszli w kierunku sklepu optycznego. Zauważyła, że choć Kurt idzie obok niej, stara się jej nie dotknąć. Trudno będzie go skusić... Lepiej zrezygnować z pomysłu, który ma tak niewielkie szanse powodzenia.

W sklepie pachniało świeżą farbą. Pracownica zakładu pokazała im gabloty z oprawkami i oddaliła się, by sami dokonali wyboru.

– Trudno się na coś zdecydować, za dużo jest tu tego – powiedziała Bonnie.

Kurt chwilę się jej przyglądał, a potem poradził:

– Potrzebujesz oprawki w delikatnym kolorze, żeby podkreślała twoje nieskazitelne rysy.

Zaczerwieniła się na ten niespodziewany komplement.

– Przymierz tę.

Założył jej oprawkę na nos. Poczula jego palce na policzkach. Wstrzymała oddech. Kurt cofnął się o krok i przyglądał krytycznie.

– Nie, jest zbyt jasna.

Nim znowu podszedł, Bonnie szybko zdjęła oprawkę i podała mu ją. Spuściła oczy, by nie mógł w nich wyczytać zmieszania.

– No a ta? – Sięgnął po jasnobrazową oprawkę.

Niemal wyrwała mu ją z ręki i sama założyła na nos. Przejrzała się w lustrze i pokręciła głową.

– Jakież takie kwadratowe. A może druciana? – Sięgnęła po oryginalną drucianą oprawkę.

– Wyglądasz w nich świetnie. Jak intelektualistka. Przyjrzała się sobie jeszcze raz. Raczej jak nauczycielka, pomyślała.

Kurt odsunął jej z czoła kosmyk włosów. Przeszedł ją dreszcz. Stał blisko, czuła jego ciepło. Czy ten człowiek wie, jak działa na nią jego bliskość?

Uginały się pod nią kolana.

– Weź tę oprawkę – powiedział ciepło. – Wyglądasz w niej znakomicie.

– Będę wyglądała raczej jak nauczycielka, a nie aktorka.

– Ale bardzo seksowna nauczycielka – wymruczał jej w ucho.

Bonnie przygryzła dolną wargę, by opanować drżenie.

– I nikt nie będzie mnie brał za Elisabeth Destiny – powiedziała. – Uwolnię się od zmyry wielbicieli.

– Od kiedy to poklask tłumów uważasz za zmorę?

– Od chwili wypadku.

– Może nie powinienem tego mówić, ale dochodzę do wniosku, że najlepsze, co ci się przydarzyło w życiu, to uderzenie deską w głowę.

– Tak uważasz? – Uśmiechnęła się zachęcona jego żartobliwym nastrojem.

– Zdecydowanie tak uważam – wyszeptał, patrząc na nią rozmiłowanym wzrokiem.

Czy zdoła go kiedykolwiek zrozumieć? Raz surowy i obcy, raz uroczy i miły. Czy dawniej był wobec niej podobnie zmienny?

Jego stosunek do niej mógł być zmienny, ale jej reakcja na niego była zawsze taka sama, od chwili gdy wszedł do szpitalnego pokoju i zobaczyła go po raz pierwszy. Już wtedy zapragnęła go. I zapragnęła ocalić ich związek i miłość bez względu na przeciwności.

– Jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek, Elisabeth Destiny!

Te słowa dodały jej skrzydeł. Zapragnęła go pocałować.

W lustrze widziała Kurta obserwującego każdy jej ruch i gest. Jego błyszczące oczy zdradzały ukryte pragnienia. Ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że on myśli o tym samym.

Ogarnęła ją nagle panika. Mimo że pragnęła, by ją objął i całował, nie miała pewności, czy potrafi ofiarować mu siebie, a jeśli ofiaruje, to czy on nie będzie zawiedziony. Straciła pamięć, więc nie wiedziała, jak wyglądały ich zbliżenia. Przerazało ją, że nie wie, czego ten mężczyzna od niej oczekuje.

Boże drogi, przed chwilą rozpatrywała pomysł uwiedzenia go, a teraz, gdy okazuje się, że on jest chętny, nie wiedziała, jak powinno to wyglądać. Spłoszona własnymi myślami porwała wybraną oprawkę i pobiegła z nią do kasy. A w głowie kołatała jej myśl, że jeśli

zamierza zwabić Kurta McNally'ego do łóżka, to powinna się najpierw dowiedzieć, co ma robić, kiedy on się w tym łóżku znajdzie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Beth wyglądała uroczo w nowych okularach na zgrabnym nosku. Kurt niemal z dumą wprowadzał ją do domu.

Miała zaczerwienione policzki, błyszczące niebieskie oczy i włosy nieco bezładnie rozrzucone na plecach. Dżinsowy kostium, jaki miała na sobie tego dnia, wyglądał na niej elegancko, podkreślał szczupłość sylwetki i kontrastował z opalenizną nóg.

Uważaj, McNally, zanadto angażujesz się emocjonalnie. Jeden fałszywy krok, a Sam będziesz musiał szukać pomocy lekarskiej.

Żadne ostrzeżenia nie pomagały. Czuł, że ogarnia go fala podniecenia. Jeszcze nigdy w życiu czegoś podobnego nie doświadczył, a kiedy usiłował porównać to gorące uczucie dla Beth z tym, co czuł do Elisabeth, Beth wygrywała bezapelacyjnie. A przecież chodziło o jedną i tę samą osobę. Co się z nim dzieje?

Kiedy zobaczył Elisabeth po raz pierwszy, zachwyciła go jej uroda, poza, nieco chłodne zachowanie. Był to brutalny pociąg fizyczny, błędnie przezeń oceniony jako miłość. A chodziło przecież o zwykłe męskie pożądanie. Natomiast to, co teraz do niej czuł, było zupełnie czymś innym i należało do uczuć całkowicie innej kategorii. Nadal pożądał jej fizycznie, może nawet bardziej niż przedtem. Samo myślenie o jej słodkich ustach i skórze. o truskawkowym zapachu budziło grzeszne pragnienia.

Niepokoili go jednak zupełnie inne doznania i inne pragnienia – obudził się w nim instynkt opiekuńczy, pragnął tulić ją i uspokajać, ilekroć płakała, chciał pomagać jej w odzyskiwaniu pamięci mimo obaw, jakie miał co do ewentualnych konsekwencji.

– Chciałabyś obejrzeć któryś ze swoich filmów? – zapytał, włączając światło w pokoju telewizyjnym – Nie marnuj czasu, masz robotę – odparła.

Boże, jak ona się zmieniła! Dawna Elisabeth ciągle narzekała, że nie ma dla niej czasu i tylko myśli o głupiej robocie.

– Nie mam nic pilnego. Nikt i nic na mnie nie czeka. Najważniejsze wydaje mi się przywrócenie twojej pamięci. Co obejrzymy?

– Może ten, o którym wspominałeś u lekarza?

– A, już wiem. „Niektóre potrafią kochać”. Dostałaś Oscara za rolę Mary Duncan, dziewczyny z biednej ulicy... Pamiętasz?

– Nie. Ile nakręciłam filmów?

– Szesnaście. – Włączył telewizor, ukląkł przed magnetowidem i zaczął grzebać w stosie kaset.

– Szesnaście? To dużo.

– Zaczęłaś, kiedy miałaś dziewiętnaście lat. – Włożył kasetę i włączył kanał wideo.

– Gdybym mogła sobie coś z tego wszystkiego przypomnieć... – westchnęła.

– Właśnie nad tym popracujemy. Siadaj, weź pilota i oglądaj. Ja pójdę do kuchni po prażoną kukurydzę. Zaraz wrócę. – Wychodząc, przygasił światło i rzucił krótkie spojrzenie

na Elisabeth. Siedziała wtulona w oparcie kanapy. Serce zabiło mu żywiej. Właściwie dlaczego?

W kuchni Consuela czyściła lodówkę.

– Gdzie jest Elisabeth? – spytała.

– Ogląda „Niektóre potrafią kochać”. Doktor polecił to jako metodę przywracania pamięci. Przyszedłem uprażyc dla nas trochę kukurydzy...

– Dla nas?

– Tak, pomyślałem sobie, że trzeba jej pomóc...

– Kurt...!

– Wiem, wiem. I wiem też, co robię. To rzecz naturalna, że skoro ona jest u nas, to powinienem jej pomóc.

– Pilnuj się!

– Elisabeth naprawdę się zmieniła.

– W dalszym ciągu nie masz pewności, że nie udaje.

– Nie widziałaś jej przed kościołem z Grantem Lewisem. Była naprawdę przerażona. Tego nie można udawać. Wiem, że go nie rozpoznała.

– Nie chciałabym, żebyś się po raz drugi sparzył.

Z aparatu do prażenia kukurydzy zaczął dobywać się miły aromat. Kurt przekręcił kontakt, otworzył pokrywę i wysypał kukurydżę do głębokiej miseczki.

– Nie ma obawy.

– Zgadzam się, że Elisabeth stała się zupełnie inna, bardzo miła. Gdybym nie wiedziała, że to ona, byłabym gotowa przysiąc, że mamy do czynienia z kimś zupełnie innym. Ale... co będzie, gdy odzyska pamięć?

– Wróci do Hollywood.

– Nie opowiadaj głupstw.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi?

– Zakochałeś się w nowej Elisabeth.

– To nieprawda!

– To prawda. Widzę to w twoich oczach, w twoim zachowaniu.

– To ty mówisz głupstwa! – zaprotestował, choć piknęło mu serce. Oczywiście, że nie był zakochany w żadnej Elisabeth Destiny! Po prostu litował się nad biedną kobietą, którą wypadek pozbawił pamięci. Pomagał jej poznać przeszłość, tak jak pomógłby bezdomnemu znaleźć dach nad głową czy choremu lekarza.

Bonnie siedziała ze wzrokiem utkwionym w ekran telewizora. Od początku czołówki była zafascynowana. Widziała coś znajomego, ale nie przypominała sobie, by kręciła ten film lub kiedykolwiek przedtem go widziała. Skojarzenia, jakie film budził, musiały mieć inne źródło. Oczywiście! Chodziło o sam fakt wtulenia się w miękkie obicie kanapki i oglądanie czyichś przygód z wygodnego i bezpiecznego miejsca. Chodziło o to, że jest widzem, a nie uczestnikiem. To było owo znajome uczucie czy odczucie, a nie jakieś osobiste wspomnienie.

Wrócił Kurt z kukurydzą.

– Kiedy ten film się ukazał? – spytała go szeptem, sięgając po jeszcze ciepłą kukurydzę.

– Przed dwoma laty. Właśnie wychodzisz. Trzeba ci przyznać, że umiesz po mistrzowsku pojawiać się na planie. A może to montażysta ci pomógł – zażartował.

Bonnie patrzyła na „siebie”, jak idzie chodnikiem, krokiem, hmm... bardzo erotycznym, wyraźnie widać prężne piersi rozsadzające obcisły sweter...

Mimo woli zerknęła na własne piersi. Wydawały się dużo mniejsze. Dlaczego? Usiłowała rozwiązać zagadkę. Doszła do wniosku, że to triki Hollywoodu.

Chodnikiem szli wyrosnięci chłopcy w skórzanych kurtkach i z włosami związanymi w koński ogon. Gwizdali, gdy znikła za rogiem, ale zanim całkowicie zniknęła, posłała im całusa wymyślonego wiele lat przedtem przez Marilyn Monroe.

Głęboko zawstydzona ukryła twarz w leżącej na kanapie poduszce. Była zażenowana, a jednocześnie zaskoczona, że ogląda siebie i nic sobie nie przypomina. Dziwne, bardzo dziwne i zastanawiające. Kobieta na filmowej taśmie jest jej całkowicie obca!

– Co się stało, Elisabeth? – zapytał zaniepokojony Kurt i odstawił na stolik miskę z kukurydzą.

– To nie ja.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Ja tak nie chodzę. Inaczej się poruszam.

– Przecież ty grałaś, kochanie!

Kochanie? To słowo wpłynęło na przyspieszenie tętna.

– Granie graniem, ale tu jeszcze o coś chodzi – odparła dużo śmieiej, podniesiona na duchu słowem „kochanie”. – Chodzi o to, że nic tu nie pasuje. Mam już dość oglądania...

– Wiem, jakie to może być dla ciebie trudne, a nawet bolesne, ale pooglądajmy jeszcze. Może coś zaskoczy, jak to się mówi. Wyzwoli jakieś osobiste wspomnienie.

Bonnie potulnie skinęła głową i próbowała skupić się na filmie. Przychodziło jej to z trudem, a właściwie okazywało się niemożliwe, gdyż obok niej siedział Kurt. Ilekroć próbowała śledzić wątek na ekranie, wzrok jej wędrował na bok, na profil mężczyzny, bliskiego jej sercu.

Trzymał rękę na oparciu kanapy. Gdyby chciała oprzeć głowę, musiałaby uczynić to na jego ramieniu.

Kurt, jakby wiedziony instynktem, zbliżył rękę. Poczula ją na plecach i serce podskoczyło jej z radości.

– Patrz, patrz! – powiedział. – Za chwilę wejdiesz do apteki. To jest ta scena, o której mówiliśmy. Może będzie pasowała do twojego wspomnienia...

Nie mogła jednak skupić się na filmie. Patrzyła w ekran, lecz uwagę jej przyciągał równy oddech siedzącego obok Kurta, mieszanina zapachów wody kolońskiej z prażoną kukurydzą i dotyk męskiego ramienia – dotyk dodatkowo wzmocniony muskaniem palca, krążącego niby to bezwiednie po jej plecach. Z rozkoszy zakręciło się jej w głowie. Była jednak na tyle przytomna, by zadać sobie pytanie, czy to jej widok na ekranie tak go podniecił, czy też bliskość żywej osoby.

– No i? – spytał nieco schrypniętym głosem.

– Słucham? – Wyrwana z rozmyślań, nie wiedziała, o co Kurt pyta.

– Czy ta filmowa scena pokrywa się z tym, co ci się przypomniało w aptece, w której byliśmy w sobotę?

– Nie. W sobotę ujrzałam siebie jako dziewczynkę, a ciotkę Jane przy kontuarze z napojami i lodami.

Patrzyła na ekranowe sceny jak na coś obcego i nie mającego nic wspólnego z nią. Zgadzała się, że bohaterka jest do niej bardzo podobna, ale nie dostrzegała siebie. Przystojny bohater filmu też nie robił na niej najmniejszego wrażenia. Cały film niczym jej nie poruszał. Myśli miała właściwie zajęte jednym: Kurtem McNally’em i jego czarodziejskimi palcami.

– Przypominasz sobie Lance’a Westwooda?

– Kto to taki?

– Grał główną męską rolę. Miał z nim romans poza kamerą. Pisano o tym.

– Ooo!

– Zerwałaś z nim mniej więcej w tym czasie, kiedy się poznaliśmy...

Bonnie przez chwilę przyglądała się bacznie Westwoodowi, który uśmiechał się czarująco do bohaterki. Doszła do wniosku, że jest zbyt przystojny i ma zbyt równe zęby. Zdecydowanie wołała Kurta, prawdziwego mężczyznę, a nie jakiegoś tam pięknego chłopaczka.

– Nie przypominam go sobie.

– W swoim czasie zastanawiałem się, po co ci byłem ja, skoro miałaś takiego pięknego kochanka. Później się domyśliłem.

– Czego się domyśliłeś?

– Że chcesz wyjść za mnie dla pieniędzy i rozgłosu, jaki przez to osiągniesz.

– Nieprawda! Jako mężczyzna jesteś stokrotnie więcej wart – oświadczyła z entuzjazmem, ale nagle posmutniała. – Czy byłam naprawdę taka interesowna?

– Niestety, tak.

– Przykro mi. Na szczęście jestem teraz zupełnie inna.

– Szkoda tylko, że potrzeba było tak okropnego wypadku, by ujawnić tkwiące w tobie dobro. No cóż, będziesz miała lekcję na całe życie...

– Już nigdy nie będę się tak okropnie zachowywała.

– Bardzo tego pragnę.

Co on ma na myśli? Czyżby powiodły się jej wysiłki udowodnienia, że jest inną kobietą? Czyżby myślał o powrocie do przeszłości i pozostaniu z nią? I czy ona jest na to przygotowana?

Podniosła do ust szklankę z colą, udając, że jest zaabsorbowana filmem. Lance Westwood bawił się właśnie puklem włosów Elisabeth Destiny ze wzrokiem utkwionym w jej obfite piersi.

– On cię zaraz pocałuje – szepnął Kurt.

Poczuła się zakłopotana. Kurt też wydawał się zakłopotany.

– Czuję zazdrość, kiedy widzę, że całuje cię inny mężczyzna. Zwłaszcza kiedy wiem, że był twoim kochankiem.

– Ja przypominam sobie tylko twoje pocałunki – wyrwało się Bonnie i natychmiast się zaczerwieniła.

– Hej, hej, ta amnezja zaczyna mi się podobać. Pozbyłem się konkurentów. W każdym razie z twojej świadomości.

Pocałuj mnie teraz, pomyślała. Pocałuj i całuj mocno, długo, namiętnie...

Na twarzy Kurta widać było rozterkę.

Rozchyliła usta w oczywistym zaproszeniu. Kurt poruszył grdyką. Końcem języka zwilżyła wargi.

Wreszcie się zdecydował. Zdjął jej okulary i odłożył je na stolik. Potem wyjął jej z ręki szklankę i też odstawił. Przybliżył twarz do jej twarzy i wyszeptał jedno słowo:

– Beth!

Bonnie zamknęła oczy. Kurt wargami dotknął jej ucha.

Lekкими pocałunkami pokrył jej policzek, pozostawiając gorący ślad. Jęknęła i przechyliła głowę. Poczwała na brodzie jego zarost, a na wargach jego usta...

– Kurt...! – Poczwała rozkoszny dreszcz.

– Bardzo przepraszam! – usłyszeli głos Consuelei i odskoczyli od siebie.

Bonnie przesłoniła usta dłonią, Kurt wydawał się zawiedziony.

– Bardzo mi przykro, że przerywam waszą... projekcję, ale Hub ma pewien problem i chce go z tobą omówić, Kurt.

– Ależ oczywiście! – Kurt zerwał się z kanapy, poprawiając koszulę i starannie unikając wzroku Bonnie. – Już idę. – Wychodząc dorzucił: – A ty, Elisabeth, oglądaj dalej. Jestem pewien, że wkrótce zacznie ci coś świtać.

Patrzyła za nim ze smutkiem. Czyżby jej się zdawało, że odetchnął z ulgą, uratowany w ostatniej chwili przez Consuele?

Kurt sam nie wiedział, dlaczego zaczął głaskać Elisabeth po plecach, ale nie mógł się powstrzymać. Ta kobieta przyciągała go jak magnes. Uważał ją za osobę wyjątkowo opanowaną, czasami wręcz zimną. A nowa Elisabeth kipiała namiętnością. I ten jej pocałunek, nim przerwała go Consuela, palił jak rozżarzony węgiel.

Jak to dobrze, że Consuela im przerwała. Doktor Freely zmusił go do zabrania Elisabeth na ranczo, wbrew chęciom i rozsądkowi, który nakazywał trzymanie się od niej z daleka. A teraz, zaledwie po czterech dniach, zaczął zastanawiać się, jak by to było, gdyby zatrzymał ją tu na zawsze. Chyba oszalał?

Może to i dobrze, że Consuela im przerwała... Dzięki temu zstąpi! na ziemię. Psiakrew, dlaczego Elisabeth Destiny tak go zniewala? Zniewala go jej zapach, niewinne spojrzenie niebieskich oczu... Jeśli nadal będzie tkwił w jej kręgu, to ściągnie sobie na głowę same kłopoty.

Problem polegał na tym, że jej pragnął.

Czy ty nigdy nie dorośniesz, McNally? Bez względu na to, jak słodka i doskonała może wydawać się teraz Elisabeth, wszystko się zmieni, gdy odzyska pamięć.

No to wobec tego, dlaczego tak bardzo pomagam jej odzyskać tę cholerną pamięć?

Gdyby był mądry, toby ją obchodził z daleka. Ilekroć na nią patrzył, narażał się na nowy ból serca. Ilekroć jej dotykał lub całował, tracił resztki rozsądku.

Ale nie potrafił jej unikać, nie mógł nie zbliżać się do niej. Zbyt go intrygowała.

Kurt szybkim krokiem przeszedł przez podwórze do stodoły, gdzie w drzwiach stał Hub.

– Co się stało?

– Miałem właśnie telefon. Na jutro brakuje nam dwóch zbieraczy brzoskwiń. Jeden spadł z samochodu i potłukł się, drugi złamał nogę.

– I co zrobimy?

– Nie wiem. Matka Jesse'a zachorowała i musi wracać do domu. Pojęcia nie mam, skąd w ostatniej chwili znajdziemy dodatkowe pary rąk. Terminy gonią, jutro wszędzie zaczynają się zbiory, transport zamówiony... Zupełnie nie wiem, co robić. Wszyscy, których znam, są już zatrudnieni.

– Poczekaj, poczekaj. A ten, który pracował u nas w zeszłym roku? Jak on się nazywa?

– Wiem, o kim mówisz. Wyjechał z Teksasu. Chyba będziemy musieli sami zakasać rękawy, a ty musisz przyjąć ofertę Elisabeth.

– Jaką ofertę?

– Nie pamiętasz? Powiedziała, że chce pomóc w zbieraniu brzoskwiń.

– Wątpię, aby mówiła to poważnie.

– Zapytaj ją jeszcze raz. Jeśli ona rzeczywiście chce pomóc, daj jej szansę. Będzie to w pewnym sensie próba. Panna Destiny nigdy nie pracowała fizycznie. Zobaczymy, czy mówiła poważnie, czy sobie z nas zakpiła.

Kultowi trudno było wyobrazić sobie Elisabeth w lipcowym żarze, opędzającą się od os i much. Może Beth jest inna? Oczywiście, że Beth jest inna! Oczami wyobraźni widział ją na drzewie.

Przypomniawszy sobie niedawne postanowienie, by unikać jej za wszelką cenę.

– No więc co, spytasz ją? – nalegał Hub.

– Chyba tak. Nie mam wyboru.

Ale będzie musiał się trzymać. Ręce przy sobie, usta zaciśnięte. Elisabeth nie może się dowiedzieć, że znowu się w niej zakochuje.

Bonnie była wniebowzięta, że Kurt poprosił ją o pomoc przy zbiorze brzoskwiń. Wstała jeszcze przed świtem, żeby nie spóźnić się do pracy. Włożyła dzinsy i różową bawełnianą koszulkę z długimi rękawami, na nogi włożyła płócienne buty, włosy związała w koński ogon.

Podniecona zbiegła na dół, by pomóc Consueli w przygotowaniu śniadania. W trakcie nakrywania do stołu gwarzyła z nią jak ze starą przyjaciółką. Consuela opowiedziała o swoich planach na niedzielny festiwal brzoskwiń. Przez ostatnie dwa lata otrzymywała wyróżnienie

za konfitury i sukces ten zamierzała powtórzyć.

Bonnie czuła ogromną radość, że wreszcie została przez kogoś zaakceptowana. Zupełnie nie rozumiała, jak mogła kiedykolwiek uważać, że życie na ranczu jest nudne.

– Wiesz co, Elisabeth – odezwała się Consuela, trzepiąc jajka na omlet, podczas gdy Bonnie wkładała chleb do tosterka. – Tydzień temu nie uwierzyłabym, że mogłabym coś podobnego powiedzieć. Otóż zaczynam cię lubić.

Słuchając tego, Bonnie aż się zaczerwieniła. Pochyliła głowę, by ukryć zakłopotanie.

– Naprawdę. Kiedy Kurt mi powiedział o twojej amnezji, byłam pewna, że to jakaś nowa intryga i że znowu zamierzasz go zranić. Z zemsty, czy ja wiem... Byłam gotowa cię udusić, kiedy się tu pojawiłaś.

– Widzę, że jesteś bardzo lojalna wobec przyjaciół.

– A żebyś wiedziała! Kurt to wspaniały człowiek i przyjaciel. Niegdyś, kiedy nie miałam gdzie się podziąć, dał mi pracę i dach nad głową.

– Wiem, to wspaniały człowiek.

– Nie ma lepszego.

Bonnie chyba już po raz tysięczny zadawała sobie pytanie, jak mogła takiego człowieka oszukać, zdradzić. Przyszła jej do głowy wspaniała myśl: a gdyby tak zaprzestała wszelkich starań o odzyskanie pamięci? Niech wszystko zostanie tak jak jest!

Zbuduje sobie tutaj nowe życie. Z Kurtem. Czy to naprawdę nie i jest wspaniały pomysł?

– Kurt dostał od życia mnóstwo razów, oberwał wielokrotnie – ciągnęła Consuela. – Uważałam, że zasługuje na wyjątkową kobietę. Na kogoś specjalnego. Możesz sobie wyobrazić moje przerażenie, kiedy obserwowałam jego znajomość z tobą. To znaczy... przepraszam... chciałam powiedzieć z osobą, jaką byłaś przedtem.

– Co chciałaś powiedzieć, mówiąc, że oberwał od życia wielokrotnie?

– Miał bardzo smutne dzieciństwo. Podobnie zresztą jak i ja. Dlatego zaopiekował się mną. Kurt doskonale rozumie, co to znaczy być samotnym, nie mieć nikogo. Wychował się w sierocińcu, gdzie pracowali rodzice Huba.

– To okropne.

– Kurt zbuntował się i uciekł. Był sklepowym złodziejaszkiem, kradł samochody... Był wielokrotnie aresztowany i miano go wysłać do więzienia dla młodocianych, ale Threadgillowie interweniowali, zgodzili się przyjąć odpowiedzialność za niego. Dzięki temu wyrósł na porządnego człowieka.

– Kurt miał szczęście, że spotkał takich ludzi – podsumowała Bonnie.

– Threadgillowie stwierdzili, że Kurt ma wielki talent do cyfr i wszystkiego, co się z tym łączy. Zachęcali go do pogłębiania wiedzy w tym kierunku. Własne doświadczenie skłoniło Kurta do zainteresowania się organizacjami charytatywnymi, a jego geniusz finansowy pomaga tym organizacjom kwitnąć.

Bonnie doszła do wniosku, że Kurt jest świętym człowiekiem, na którego absolutnie nie zasługuje. Z drugiej strony opowieść Consueli wzmocniła jej pragnienie, by należeć do tego człowieka. Pochyliła głowę i modliła się, by nigdy nie odzyskała pamięci. Wcale nie chciała

poznać kobiety, którą poprzednio była.

Hub i Kurt pojawili się na śniadanie w towarzystwie dziesięciu zbieraczy zakontraktowanych na akcję. Widok Kurta tak zbulwersował Bonnie, że serce zaczęło jej walić w przyspieszonym tempie. Poczwała nagły chłód i przemożne pragnienie, by znaleźć się w jego ramionach!

Kurt powiedział coś, czego nie dosłyszała, a co wywołało głośny śmiech robotników. Dostrzegła ciepło w oczach Kurta, gdy patrzył na Huba. Jaki on jest dobry dla wszystkich. Żeby tak samo zechciał spojrzeć na nią! I dlaczego zawzięcie broni się przed pokochaniem jej?

Dlatego, że byłaś dla niego taka okropna, odpowiedziała sobie.

Ciągła huśtawka! Przed chwilą była niemal szczęśliwa. Teraz znowu ogarnęło ją przygnębienie. Czy potrafi kiedykolwiek normalnie żyć, nie mogąc sobie przypomnieć własnej przeszłości? Czy kiedykolwiek zazna szczęścia u boku mężczyzny, którego tak namiętnie kocha?

Kurt spojrzał w jej kierunku. Wzrok ich się spotkał. Nagle wszyscy mężczyźni przestali dla niej istnieć. W kuchni byli tylko oni dwoje. Podszedł do niej.

– Ślicznie dziś wyglądasz, Beth! – powiedział.

– Dzi... dziękuję – wyjąkała zupełnie zdezorientowana. Spodziewała się surowej miny i najwyżej skinienia głową z daleka. Widziała, jak wzrok Kurta wędruje od dekoltu jej bawełnianej koszuli po obcisłe dzinsy.

– Wyglądasz zbyt ładnie jak na zbieraczkę brzoskwiń.

– Jeszcze nic nie zebrałam, ale możesz być spokojny, dam sobie radę.

– Praca będzie ciężka.

– Przeżyję. – I udowodnię ci, że jestem coś warta, pomyślała.

– Może i przeżyjesz, ale... – Zaniepokoił się. – Uplętyło dopiero pięć dni od wypadku. Uważaj, może ci się zrobić słabo... Jeśli poczujesz, że coś jest niedobrze, natychmiast przestań i wracaj do domu. To rozkaz – zakończył z uśmiechem – Tak jest, szefie! – odparła lekko.

– Bardzo mi się podobają twoje okulary... – Kurt nie miał najmniejszej ochoty odejść do swoich ludzi.

– Dziękuję. – Przypomniała sobie, że trzyma w ręku paterę z tostami. – Najwyższy czas nakarmić twoją brygadę.

– Ho, ho, powiedziane tak, jak powiedziałyby żona farmera. Spurpurowiała. Żona! Chyba to tylko tak mu się wysnęło. Kurt sięgnął po talerz. Ich palce spotkały się. Bonnie wstrzymała oddech.

Robotnicy szybko pochłonęli śniadanie. Consuela została, by posprzątać, Bonnie wyszła ze wszystkimi.

Niebo jaśniało na wschodzie, ale rosa oblepiała jeszcze trawę. Nieopodal stały samochodowe platformy pełne pustych koszy. Z tego, co usłyszała od Consueli, wiedziała, że pod wieczór wszystkie będą pełne.

– Pojedziesz ze mną – powiedział Kurt, pomagając robotnikom wdrapywać się na jedną z platform. Następnie ujął Bonnie za łokieć i poprowadził do dżipa.

– O co chodzi? – zapytała nieco zaniepokojona.

– Chcę ci dać kilka wskazówek na temat zbierania brzoskwiń.

Wsiedli, dżip ruszył na czele karawany wyładowanych koszami platform.

Kurt z wielkim ożywieniem opisywał, jak się ujmuje, zrywa i odkłada do kosza owoce.

Jego to naprawdę pasjonuje, pomyślała.

Mimo swego geniuszu w sprawach finansowych i zamiłowania do działalności charytatywnej, Kurt McNally był w głębi duszy farmerem. Z przejęciem opisywał czynności na farmie, obchodzenie się z drzewami. Przy tym wszystkim ujawniał swoją miłość do ludzi, natury, ziemi, zwierząt. Boże, żeby jeszcze ujawnił miłość do niej!

Musiała jednak przyznać, że mimo iż jej nie kochał, był dla niej bardzo dobry. Okazywał serdeczność, interesował się jej sprawami. Zaczynał też ją poważać. Pytał nawet o jej opinie i chyba szczerze pragnął, by odzyskała pamięć. To już było dużo i chwilowo musiało jej wystarczyć. Samo przebywanie z nim sprawiało jej radość. Najgorsze, że nie wiedziała, co przyniesie jutro i jaka czeka ją przyszłość.

Szyby samochodu były opuszczone. W powietrzu unosił się charakterystyczny słodkawy zapach dojrzałych brzoskwiń. Bonnie z przyjemnością go wdychała. Czekał ją wspaniały dzień.

Zatrzymał dżipa. Wsiedli. Wkrótce dołączyli do nich pozostali zbieracze. Kurt wręczył Bonnie parę grubych bawełnianych rękawiczek.

Nagle przypomniał się jej ogródek za niewielkim domkiem. Zamknęła oczy. Rosną rzędami marchewki, sałata, ogórki... Pachnie świeżo skopana ziemia, czuje na języku smak pomidora...

– Coś ci jest? – zaniepokoił się Kurt. – Jeśli nie czujesz się dobrze, to odwiozę cię do domu.

– Ależ nie, wszystko dobrze. Po prostu coś mi się przypomniało. Podobnie jak wtedy w aptece.

– Co ci się teraz przypomniało?

– Ogródek.

– Gdzie?

– Za niewielkim domem. Chyba tam mieszkałam.

– Nie wiem, co myśleć o tych twoich przeblyskach pamięci – powiedział, wzruszając ramionami. – Przypominasz sobie rzeczy, które nigdy się nie wydarzyły. Zapewniam cię, że nigdy nie pracowałeś w żadnym ogródku.

– Ale jestem tu i będę pomagać w zbiorze owoców.

– Tylko dlatego, że wypadek cię zmienił.

– Nic nie poradzę na to, że przypomina mi się to, co mi się przypomina.

Zastanowił się chwilę.

– Porozmawiamy o tym później, teraz musimy iść do pracy. Zrywali złociste kule z

ociężałych gałęzi wielkiego drzewa, napelniając koszyk po koszyku. Dobrze, że Kurt poradził jej, by włożyła koszulkę z długimi rękawami. Rękawy były wkrótce mokre od lepkiego soku.

Po gałęziach maszerowały zastępy mrówek, dokoła głowy brzęczały osy, muchy często siadały nie tylko na rękawach koszulki, ale na ustach i brwiach. Bonnie, jak mogła, odganiała je, nie przerywając pracy. Szybko zrobiło się gorąco, ale nie przejmowała się niczym. Fizyczna praca sprawiała jej wielką przyjemność. Lubiła też urzekający zapach owoców. Od czasu do czasu rzucała krótkie spojrzenie na Kurta, któremu na czoło wystąpił pot. W jej oczach wyglądał wspaniale. Oby ten dzień trwał wiecznie, pomyślała. Bonnie Bradford była w tej chwili absolutnie szczęśliwa.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kurt przyznawał, że Elisabeth pracowała nie gorzej niż wynajęci robotnicy. Zaskoczyła go swoją wytrwałością. Był już znużony długą pracą i bolały go wszystkie kości. Ale też zadowolony z dobrze wykonywanego zadania i doskonałych rezultatów. Zbiory okazały się rekordowe.

Kurt, Hub, Consuela i Beth – wszyscy już umyjni i przebrani – siedzieli na ganku i zajadali brzoskwinie lody. Wynajęci zbieracze odjechali do domu po spożyciu kolacji przygotowanej przez Consuełę.

Świerszcze wygrywały wieczorną melodię. Lekki wiaterek przyjemnie chłodził rozgrzane twarze.

Od czasu do czasu Kurt zerkał na Beth, napawając wzrok zarysem jej piersi pod bawełnianą koszulką.

Co za kobieta, pomyślał. No i proszę: była przy nim w dniu, kiedy jej potrzebował! Ten jeden uczynek pozwolił zagoić dawne rany i uspić stare urazy, jakie do niej żywił. Dobrze zrobił, przywożąc tu Elisabeth ze szpitala. Ludziom zawsze trzeba dawać szansę. Gdyby jemu nie dano szansy, gdy był nastolatkiem, to teraz pewno siedziałby w więzieniu.

Co Elisabeth może zrobić ze swoim życiem? Była przecież teraz inną kobietą. Dobrą, pomocną, energiczną, rozsądną...

Razem mogliby wiele zdziałać, jeśli podstawą do oceny może być mijający dzień, kiedy to pracowali ramię przy ramieniu.

Hola, hola, panie McNally. Robisz plany wspólnego życia z kobietą, która nie pamięta swojej przeszłości. Z tego nie może wynikać nic dobrego.

Kiedy jednak Elisabeth uśmiechała się do niego – tak jak właśnie uśmiechała się teraz, z lekko pochyloną głową, z oczami wpatrzonymi w jego oczy, zwilżając koniuszkiem języka wargi – Kurt nie mógł myśleć rozsądnie. Zapomniał o jej dawnych kłamstwach i odgrywanych rolach. Potrafił myśleć tylko o Beth. O zapachu jej włosów, jej jedwabistej skórze i smaku jej ust. Incydent z Grantem Lewisem poszedł w niepamięć. Nieprawdopodobnie!

Pragnał jej z całego serca, a jednocześnie się bał. Bał się, że z chwilą odzyskania pamięci wróci dawna Elisabeth. A jeśli nie odzyska pamięci, to i tak będzie chciała opuścić farmę. Po co się oszukujesz, McNally?

Chwycił głęboki oddech i potrząsnął głową, jakby chciał tym ruchem pozbyć się wszelkich wątpliwości. Nie miał wyboru: brać jak się jawi dzień po dniu, bez specjalnych założeń i nadziei. Tylko w ten sposób ocali, być może, serce.

Po dniu zbiorów nastąpiły nerwowe godziny przygotowań do niedzielnego festynu w miasteczku. Kuchnia Consueli pachniała brzoskwiniami. Bonnie myła i suszyła słoiki, z przydomowego sadu przynosiła wiadra owoców. Kurt i Hub zbijali stoisko na farmerski targ. Zorganizowali też transport na sobotę.

Bonnie obrała górę brzoskwiń, aż zdrętwiały jej palce. Lubiła pracę w kuchni u boku Consueli, z którą była w coraz lepszych stosunkach. Pracowały przy wekowaniu owoców i kandyzowaniu brzoskwiniowych połówek. Można powiedzieć, że dzięki brzoskwiniom się zaprzyjaźniły.

W piątek o północy Consuela ziewnęła i powiedziała: – Do przyszłego roku nie chcę widzieć brzoskwiń! – Wytrzeła ręce i opadła na najbliższe krzesło, kładąc stopy na sąsiednim. Kuchnia była już sprzątnięta, wszystko błyszczało czystością. Na ladzie stały rzędy słoików, a w kredensie kandyzowanych owoców. Bonnie naląła dwa kubki brzoskwiniowego nektaru, podała jeden Consueli i usiadła obok.

– Bardzo mi pomogłaś, Elisabeth – powiedziała serdecznie Consuela. – Gdyby mi przed rokiem ktoś powiedział, że będziesz tak pracować, to roześmiałabym mu się w twarz.

– Wiem, dziękuję ci za życzliwość, z jaką mnie potraktowałaś.

– Jestem bardzo zadowolona, że Kurt przywiózł cię do domu.

Do domu! Ale to nie jest mój dom, pomyślała Bonnie. W tym właśnie sęk. To wspaniałe ranczo nie było jej domem, a ci wspaniali ludzie nie byli jej rodziną. Czy kiedykolwiek się dowie, kim naprawdę jest? Przez ostatnie dni była tak zajęta, iż niemal zapomniała, że jest tu obca.

I nie ma co się łudzić – nie jest już narzeczoną Kurta McNally’ego. To jest ranczo Kurta, a nie jej. Consuela, Hub i Jesse są jego przyjaciółmi. Ona jest tylko gościem. Wkrótce Kurt poprosi, by wyjechała.

Nieustannie myślała o Kurcie. Ten mężczyzna opanował jej myśli i duszę.

Kiedy rozwieszała uprane ubrania, dotykała jego dżinsów i myślała o nim z czułością. Kiedy czasami wstawała w nocy, bo nie mogła usnąć, wychodziła do holu i przez zamknięte drzwi jego sypialni wsłuchiwała się w miarowy oddech. Kiedy leżała z szeroko otwartymi oczami, szeptała w kółko jego imię niby kołysankę i tak wreszcie zasypiała.

Czasami zbierało się jej na płacz, gdy o nim myślała. Teraz też.

– Kładę się – obwieściła Consuela. – Muszę wstać o piątej rano. Zgaś światło, kiedy będziesz szła na górę.

Bonnie skinęła głową. Była zbyt zmęczona, by się ruszyć.

Zamknęła oczy i z lubością wdychała brzoskwiniowy zapach. Uwielbiała to miejsce. Tę kuchnię, ranczo, tych ludzi. Uwielbiała wstawać wczesnym świtem i przez cały dzień ciężko pracować. Chciałaby tu zostać na zawsze, mieć tu swój dom, hodować brzoskwinie i prowadzić proste życie u boku Kurta. I chciałaby mieć dzieci...

Ja go naprawdę kocham, pomyślała. Kocham Kurta McNally’ego!

Ale Kurt McNally nie kochał jej. Zbyt go uraziła, a chociaż nie zachowywał się już ani podejrzliwie, ani też chłodno, jak pierwszego dnia po jej przyjeździe ze szpitala, nadal był czujny i ostrożny.

Nie mogła mieć o to pretensji. Kto rozsądny zaufałyby jej? Tak dłużej być nie może. Musi odzyskać pamięć. Po festiwalu pojedzie do doktora Freely’ego i poprosi, żeby poddał ją hipnozie. To może okazać się bolesnym przeżyciem, ale nie ma innego wyjścia. Musi poznać

swoją przeszłość choćby po to, by definitywnie zamknąć poprzedni rozdział życia i rozpocząć nowy. Podjąwszy decyzję, wstała i wyszła z kuchni, gasząc za sobą światło. Była pewna, że ma rację. Nie mogła liczyć na przebaczenie Kurta ani na własny spokój sumienia, póki nie pozna prawdy o Elisabeth Destiny, czyli kobiecie, którą niegdyś była.

Sobotni poranek zapowiadał piękną pogodę podczas festiwalowego weekendu. Wokół gorącego słońca przemykały pierzaste chmurki i wiał miły wiaterek. O ósmej było już po śniadaniu, talerze pozmywane i schowane.

W świątecznym nastroju załadowali samochód. Hub żartował, Kurt pogwizdywał, Consuela uśmiechała się. Z gałęzi orzechowego drzewa na podwórku pokrzykiwała sójka. Za płotem pasły się dorodne krowy. Wiaterek lekko poruszał łebkami fiołków kwitnących na klombie.

Bonnie łapczywie chłonęła ten obraz, jakby w obawie, że jej szczęście nie potrwa długo.

– Pojedziesz ze mną? – zapytał Kurt.

Odniosła wrażenie, że głos mu się łamie i jest nieco zdenerwowany. Zauważyła też, że oczy nienaturalnie mu błyszczą i że przygląda się jej z zainteresowaniem. Tak, Kurt przyglądał się jej z namiętnością, jakiej jeszcze u niego nie widziała.

Wstrzymała oddech zupełnie zbulwersowana. Oczy Kurta wyraźnie mówiły, że chciałby się z nią kochać, choćby tu, teraz.

Od czasu pierwszego pocałunku często myślała o tym, jakby to było kochać się z Kurtem. Nagle zdała sobie sprawę, że urzeczywistnienie jej pomysłu sprzed paru dni nie byłoby teraz trudne. Z łatwością mogłaby go uwieść. Przyszedłby do niej na skinienie palca...

– Ja... właśnie... – wymamrotała.

– Hub zawozi Consuelę do namiotu, gdzie odbywa się konkurs przetworów owocowych. Ja mam dostarczyć brzoskwinie na stoisko sprzedaży. Wolisz jechać z nimi czy ze mną?

Też pytanie! Tylko że była wielka różnica między tym, co by chciała, a co było rozsądne.

Powiew wiatru zdmuchnął Kurtowi włosy na czoło. Podeszła i odgarnęła mu je do tyłu. Był to gest kobiety mającej prawo do mężczyzny. Żony, kochanki... Zorientowała się, że nie powinna była tego zrobić.

Kurt spojrzał zdumiony. Bonnie szybko cofnęła dłoń i postąpiła krok do tyłu.

– Chyba... pojedę z Consuelą – wyjąkała. Chwycił jej rękę.

– Dlaczego?

O Boże, Boże, co mam mu powiedzieć, myślała rozpaczliwie.

– Bo... bo tak chyba będzie lepiej...

– Boisz się zostać ze mną sam na sam?

Tak, bała się. Dotyk jego dłoni upajał i zniewalał, ale... Nie, nie bała się Kurta, bała się raczej siebie. I konsekwencji. Nim zdołała sformułować odpowiedź, Hub odjechał dziupem Kurta.

– To rozwiązuje sprawę – oświadczył Kurt z uśmiechem. – Jedziesz ze mną.

Otworzył drzwiczki do szoferki starej furgonetki i zaprosił Bonnie do środka. Platforma

furgonetki wyładowana była koszami pełnymi brzoskwiń. Zająła wskazane jej miejsce.

Kurt usiadł za kierownicą. Serce waliło mu jak młotem. W co on się pakuje? W imię zdrowego rozsądku powinien był jej powiedzieć, że ma jechać z Hubem i Consuelą.

Ale... jak ona cudownie wygląda! Nie powinien ryzykować z nią żadnego sam na sam. Zwłaszcza że po głowie chodzą mu głupie myśli, żeby... wziąć ją w ramiona i całować, kochać się z nią, kochać, kochać...!

Jak dziura w moście potrzebne mu jest to sam na sam z Elisabeth Destiny... Ale w tej chwili nic go nie obchodzi, jaka niegdyś była Elisabeth i jak go potraktowała. Teraz jest Beth, kobieta, którą sobie wymarzył. Kobieta, którą kochał...

Nie bądź idiotą, odezwał się w nim ostrzegawczy głos. Jak możesz kochać kogoś, kogo nie znasz?

No bo jakże miał ją znać, skoro ona nie знаła siebie.

Ze złością zatrzęsła drzwi furgonetki, uruchomił silnik, włączył bieg i ruszył. Przez całą drogę do Weatherford milczał i właściwie nie wiedział, jak i kiedy zajechał do miasteczka. Pamiętał tylko delikatny zapach truskawek z kremem i długie rzęsy, na które od czasu do czasu zerkał. No i szczupłe dłonie, którymi wspierała się o deskę rozdzielczą.

Na skraju zastawionego straganami placu ustawił furgonetkę na parkingu w rzędzie innych pojazdów i zgasił motor. Prawie wszystkie stragany były już obsadzone przez farmerów.

Kurt wysiadł i zaczął się rozglądać. Wysiadła też Bonnie, skrzyżowała ręce na piersiach i w oczekiwaniu na dyspozycje Kurta przestępowała z nogi na nogę. Kurt otworzył tylną klapę furgonetki i wyciągnął kosz z brzoskwiniami.

– Pomogę ci – zgłosiła się Bonnie.

– Dam sobie radę – odparł i chwycił ciężki kosz. Dźwignął go na plecy, przeniósł przez asfaltową jezdnię i wszedł między stragany. Szybko znalazł swój, gdzie odstawił kosz. Nie omieszkał się odwrócić, by zobaczyć wyraz twarzy Beth z pewnością podziwiającej jego siłę. Nie ujrzał jej i poczuł się oszukany. Cały pokaz męskości poszedł na marne. Gdzie ona się podziała?

Nareszcie zobaczył! Pomagała jakiejś staruszce poruszającej się przy pomocy metalowego balkonika. Poczuł się głupio. Zawstydzony poszedł do furgonetki po następny kosz brzoskwiń.

Po paru minutach dołączyła do niego.

– Widziałem, jak pomagałaś tej starej kobiecie – powiedział.

– Przecież to głupstwo.

– Może dla ciebie. Dla staruszki to poważne ułatwienie.

Bonnie lekko wzruszyła ramionami. Pochwała Kurta sprawiła jej jednak przyjemność. A on miał ochotę całować te policzki, miał też ochotę na wiele innych rzeczy, ale pilnie zajął się układaniem brzoskwiń w piramidki. Gdy skończył, wyjął i położył na stole stos torebek i kalkulator, a także miseczkę z drobnymi do wydawania reszty. Nim się obejrzeni, zjawili się pierwsi klienci. Ona ich obsługiwała, on inkasował należność.

Pracowali bardzo sprawnie. Zgrana para! Od czasów dzieciństwa spędzonego w sierocińcu Kurt marzył o tym, by mieć u swego boku kogoś wiernego, oddanego, zaufanego. Kobieta, która chciałaby dzielić z nim los i pracę, być przy nim na dobre i złe. Marzył o kobiecie właśnie takiej jak Beth...

Ruch przy ich straganie był wyjątkowo duży. Kurt był przekonany, że to dzięki Beth. Swoją urodą, uśmiechem i uprzejmością zachęcała kupujących, niemal ich przyciągała, witając każdego jak starego przyjaciela czy przyjaciółkę. Po godzinie pojawił się Hub.

– Mogę cię zastąpić, szefie – powiedział. – Za dziesięć minut zaczyna się parada.

– A Consuela? – spytał Kurt.

– Szczęśliwa ze swoimi przetworami. Znowu otrzymała pierwszą nagrodę. Ona jest naprawdę dobra w tych konfiturach czy jak im tam.

– O tak, można być z niej dumnym.

– Z panienci Elisabeth też – odparł Hub, uchylając kowbojskiego kapelusza.

– Pójdziemy obejrzeć paradę? – zwrócił się Kurt do Beth.

– Oczywiście! – odparła i obdarzyła go tak słodkim uśmiechem, że serce mu stopniało.

Zostawili stragan Hubowi i poszli główną ulicą, przeciskając się przez tłum. Podniecone i rozkrzywane dzieci niosły kolorowe balony i zajadały cukrową watę, oczywiście o smaku brzoskwińowym. Chodniki były już zajęte przez mieszkańców Weatherford i turystów pragnących obejrzeć paradę.

Trzymając Elisabeth za rękę, Kurt zaprowadził ją na skrzyżowanie, gdzie był dobry punkt obserwacyjny. Jakże miło było trzymać jej drobną rączkę! Radował się też, gdy ludzie pokazywali ich sobie i szeptali, że to jest sławna Elisabeth Destiny. Przyciągnął Bonnie do siebie i objął ramieniem.

– Parada przyjdzie ulicą Główną – wyjaśnił. – Od północy. Jestem tu pierwszy raz, podobnie jak ty. W ubiegłym roku odmówiłaś przyjęcia, mówiąc, że nie chcesz mieć nic do czynienia z prowincjonalnymi głupkami. Ale było, minęło. Już taka nie jesteś.

– A jeśli jestem? – wyszeptała zawstydzona. – A jeśli się okaże, że po odzyskaniu pamięci będę taka, jak byłam?

– Nie wiem, co by było i co bym zrobił – wymruczał do siebie.

– Postanowiłam, że poddam się hipnozie – poinformowała go.

– Jesteś pewna, że tego chcesz?

– Ja... my... nie możemy postąpić o krok, nim sprawa mojej pamięci nie zostanie rozstrzygnięta. Albo ją odzyskam, albo się dowiem, że już mi nigdy nie wróci.

Nie umknęło Kurtowi, że poprawiła się na „my”. Czyżby poważnie rozważała możliwość spędzenia życia u jego boku? Porzucenia filmu po to, by przyjąć życiową rolę żony farmera?

Nie mógł się dłużej zastanowić nad taką zaskakującą możliwością, bo zagrzmiała orkiestra dęta weatherfordzkiego gimnazjum. Wkrótce znalazła się tuż, tuż, a potem z ogłuszającym hałasem bębnów przeszła, kierując się na rynek. Za orkiestrą szły dziewczęta w paradnych strojach, wykonując sprawnie ni to gimnastyczne ćwiczenie, ni baletowy taniec w marszu.

– Porozmawiamy później – powiedział Kurt. – Zastanowimy się poważnie.

Było wiele racji w tym, co powiedziała Beth. Trudno rozważać przyszłość, nie mając jasnego obrazu przeszłości. Póki tego się nie rozwikła, będą kręcić się w kółko. Hipnoza to chyba jedyny klucz do zaryglowanej pamięci.

Za orkiestrą i dziewczętami jechały udekorowane wozy, a następnie kowboje na doskonale utrzymanych koniach. W otwartym kabriolecie koloru brzoskwiniowego przejechała Królowa Brzoskwiń w otoczeniu orszaku dziewcząt.

Z jednego samochodu pękata postać odziana w kostium brzoskwini rzucała w tłum cukierki i plastikowe zabawki dla maluchów, które prześcigały się w chwytaniu lecących skarbów.

Kiedy parada przejechała, Kurt ujął Bonnie pod rękę i zaprowadził na rynek zabudowany straganami i kioskami. Zatrzymywali się niemal przy każdym, oglądali sprzedawane przedmioty, próbowali szczęścia, rzucając strzałkami do tarcz lub piłkami do koszy i świetnie się bawili.

– Ojej! – Bonnie spojrzała na zegarek. – O pierwszej mam dyżur w budce z całusami, a ty masz być clownem, którego wrzucają do wody.

– Umknijmy gdzieś stąd – zaproponował Kurt, pochylając się do ucha Bonnie.

Klepnęła go lekko po ramieniu, co odczuł jako słodką pieszczotę.

– Obiecaliśmy. Sarah Jane i Tammy liczą na nas.

– Tobie łatwo mówić. Ciebie będą całować, a mnie wrzucać do wody.

– Przeżyjesz – odparła lekko.

– Nie jestem pewien, czy mi się to uda, jeśli będę musiał patrzeć, jak cię obcałowują obcy mężczyźni.

– Zazdrosny?

– Trochę. – Pokazał kilkucentymetrowy odcinek.

– Tylko tyle?

– Dobrze, niech będzie więcej. – Rozłożył ręce na całą długość.

– Możesz być pewny, że nikt nie ukradnie mi serca.

– Nawet Grant Lewis? – Ledwo to powiedział, miał chęć odgryźć sobie język.

Z twarzy Bonnie zniknął uśmiech, oczy straciły blask.

– Wiem, że zasłużyłam na to, ale... – Była bliska płaczu.

– Przepraszam cię, Beth. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało.

– Ale zabrzmiało. I miałaś prawo to przypomnieć. – Opuściła głowę.

Ujął jej brodę i zmusił, by spojrzała mu w oczy.

– Nie, nie mam prawa sprawiać ci przykrości, mścić się za coś, co minęło i nigdy się nie powtórzy: Jeśli mamy zacząć od nowa, to nie wolno mi wypominać ci minionych grzechów, choćby były poważne. Muszę wybaczyć i zapomnieć.

– Zamierzasz mi wybaczyć? – spytała.

– Przecież muszę, skoro zaczynamy od nowa.

– Naprawdę chcesz rozpocząć wszystko od nowa? Ze mną?

– Jeszcze nie mogę tego obiecać, musimy poczekać...

Bonnie pokiwała głową. Najważniejsze i bardzo pocieszające było to, że Kurt jest skłonny wszystko przemyśleć. Zrozumiała, że przez ten tydzień oboje bardzo dojrzeli.

Niemniej czuła potrzebę zrobienia jakiegoś istotnego kroku, by przyspieszyć cały proces. Odpowiednim krokiem wydawała się decyzja poddania się hipnozie. W poniedziałek rano trzeba będzie zadzwonić do doktora Freely'ego i umówić się. Tak, to jest dobre posunięcie...

– Może coś przekazamy przed czekającą nas ciężką pracą – zaproponował.

Kioski z jedzeniem rozpostarły się na południowej stronie placu. Pachniały tam hamburgery, przysmaki meksykańskie i kiełbaski pieczone na ogniu. Kurt kupił lunch, znaleźli stolik, usiedli i patrzyli na przelewający się tłum.

Bonnie z radością wchłaniała każdą minutę. Przyglądała się stoisku, w którym jakaś kobieta malowała chętnym twarze w indiańskie wzory, tuż przy budynku sądów ktoś zbierał kandydatów do wyścigu w workach.

Pogryzając przyniesione przez Kurta meksykańskie przysmaki, zastanawiała się, jak by wyglądało jej życie u boku Kurta. I czy to jej marzenie się spełni. Zerknęła na niego z ukosa, nie chcąc żadnym nieopatrzonym słowem zmienić cudownego nastroju beztroskiej zabawy.

– Tu państwo jesteście! – rozległ się znajomy głos. Zobaczyli Tammy i Sarah Jane, które ujrzawszy ich, podskoczyły do stolika.

– Niech pani szybko idzie, panno Destiny, już na panią czekają. Zbierzemy fortunę! – wykrzyknęła Tanimy.

– Podobają mi się pani okulary. Wygląda w nich pani dostojnie – stwierdziła Sarah Jane.

Bonnie roześmiała się.

– Niech pani nałoży na usta dużo szminki i ma ją pod ręką. Faceci będą chcieli mieć dowód, że zostali pocałowani przez Elisabeth Destiny – pouczała Tammy.

Bonnie wyjęła z torebki lusterko i szminkę, pomalowała sobie usta, po czym obróciła się do Kurta, szukając aprobaty.

Kurt siedział z założonymi rękami i miał bardzo kwaśną minę. Nagle dotarło do Bonnie, że wcale nie odpowiada mu jej status gwiazdy. Czyżby się bał, że zechce natychmiast wrócić do Hollywood? Pochyliła się i złożyła na jego policzku lekki pocałunek.

– To na szlachetny cel.

Pozostawiła mu czerwoną pieczęć. Nie stał szminki od razu, ale wstał, ujął ją pod rękę i spytał:

– Idziemy?

Chichocząc, przycisnęła jego dłoń i poszli pod gmach sądów, gdzie mieściła się „całownia”.

Na estradce, gdzie Bonnie miała rozdawać całusy, wisiała powiększona fotografia Elisabeth Destiny. Wielki napis zachęcał do przychodzenia między pierwszą a drugą po południu po pocałunek znanej aktorki wyróżnionej Oscarem.

Płoniąc się, Bonnie weszła na estradkę. Towarzyszyła jej Sarah Jane, pełniąca rolę gospodyni, Tammy natomiast zabrała Kurta do błazeńskiej budki. Bonnie widziała, jak Kurt

wdrapuje się na chybottliwe urządzenie zawieszane nad sporym zbiornikiem wody, pod którym czekało już kilku młodzieńców z przebiegłymi uśmiezkami na twarzach, trzymających piłki bejsbolowe.

– Dostanę buzi? – spytał bezzębny staruszek, wyciągając ku Bonnie dolarowy banknot.

Otworzyła szeroko oczy. To będzie mniej przyjemne, niż myślała. Pochyliła się i złożyła pocałunek na czole mężczyzny. – Dziękuję, kochanie – odparł staruszek. – Będę pamiętał tę chwilę do śmierci. Lubię pani filmy.

– Bardzo panu dziękuję – odpowiedziała, uśmiechając się. Staruszek odszedł rozpromieniony.

Może to i nie takie okropne, jeśli można upiększyć szary dzień starego człowieka, pomyślała. Nim minęła godzina, czterdzieści dwa razy musiała nakładać na usta szminkę. Kurt chyba tyle samo razy wpadł do zbiornika z wodą. Wychodząc, otrząsał się i śmiał, ale zawsze spoglądał w jej kierunku, a Bonnie wesoło do niego machała.

O drugiej przyszedł po nią, ociekając wodą.

– Chyba ja też zasłużyłem na całusa po tyłu przymusowych kąpielach...? – zapytał.

– Ale oczywiście, natychmiast!

Uradowana, że to już koniec godzinnej udręki, zarzuciła mu ręce na szyję i obdarowała gorącym pocałunkiem w usta. Kurt pochwycił zębami jej dolną wargę, zawarczał niby wilk i przyciągnął do siebie.

– Ja składam reklamację! – krzyknął ktoś z tłumu. – Ona tak mnie nie pocałowała!

– Bo ty nie wyglądasz, jak ten ognisty żreback – odparł mu głośno ktoś inny.

Mężczyzna odszedł, kręcąc głową i mrużąc coś pod nosem.

– Pojedziemy się przebrać, a potem wrócimy, żeby zastąpić Huba przy owocach – zaproponował Kurt.

Trzymając się za ręce, poszli do furgonetki. Kurt nieustannie zerkał na Bonnie. Czują to spojrzenie i dostrzegała jego pożądanie. Uświadomiła sobie, że Kurt zaproponował powrót do domu, w którym znajdą się całkowicie sami. Będą się rozbierali, brali prysznic. W pobliskiej kuchni nie będzie Consueli. Po schodach nie będzie biegł Jesse. Nie będzie też Huba, który mógłby im przerwać, gdyby...

Była to ponętna propozycja, pragnęła kochać się z nim, ale nie wolno jej było pozwolić sobie na taki luksus. Bonnie nie przypominała sobie, by kiedykolwiek kochała się z Kurtem. Wiedziała tylko, że jeszcze nie może mu się oddać bez reszty. W tym akcie musi uczestniczyć głowa, serce i dusza. Jakże mogłaby oddać się bez zastrzeżeń, skoro nie wiedziała, kim właściwie jest?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ku rozczarowaniu Bonnie Kurt okazał się stuprocentowym dżentelmenem. Żadnych seksualnych uwertur! Zostawił ją w holu, by robiła, co chce, gdy on brał prysznic.

Kiedy on był w łazience na dole, ona przebrała się na gorze w różową sukienkę, gdyż czekały ją wieczorem tańce. Kurt jednak nie zwrócił uwagi na jej kreację ani nie zaglądał w dekolt, jak czynił to poprzednim razem.

Przez całą powrotną drogę do Weatherford martwiła się tym jego brakiem zainteresowania.

Sprzedawali brzoskwinie do późnego popołudnia. Kurt zachowywał się uprzejmie, ale ani na nią nie spojrzał czule, ani też nie napomknął o niczym, co świadczyłoby, że pragnie zbliżenia. Czyżby więc niewłaściwie odczytała poranne sygnały? A co miał znaczyć ów namiętny pocałunek w festiwalowej „całowni”? Czyżby znowu opadły go wątpliwości? Bardzo często mu się to przytrafia. Jej zresztą też.

Kurt wydawał się bardzo zadowolony, pogwizdywał i pakując resztki brzoskwiń, podrzucał je do góry.

Bonnie nadal się boczyła. Prawdę powiedziawszy, nieco żałowała, że nie próbował jej uwieść, kiedy byli sami na ranczu.

– Dlaczego masz taką zafrasowaną minę, moja brzoskwineczko? – zapytał, ujmując ją pod brodę. – Myślałem, że świetnie się bawisz.

– Bawiłam się świetnie, ale teraz zrobiło mi się głupio i bardzo się boję.

– Czego znowu?

– Że cię utracę.

Kurt nie odpowiedział. Zresztą, nie spodziewała się odpowiedzi. Przecież mówił, że nie może nic obiecać.

– Chyba już pojedziemy. Hub i Consuela z pewnością na nas czekają.

Wrócili na farmerski targ i pomogli Hubowi zwinąć stoisko. Gdy pojawiła się Consuela, wsiedli wszyscy do samochodu Huba i pojechali na Arenę Szeryfa, gdzie miały się odbywać tańce. Zapłacili za wstęp i wjechali. Hub wypatrzył wolne miejsce na parkingu i zostawił tam samochód. Orkiestra grała jakąś melodię country i płaczliwe dźwięki gitary doskonale harmonizowały z zapadającym mrokiem. Powietrze niesło wspaniałe zapachy pieczonego mięsa z grillów porozstawianych za parkingiem. Poszli w kierunku purpurowego namiotu osłaniającego cementowy parkiet. Dokoła spacerowały lub stały rozbawione pary, klaszczące w dłonie w takt muzyki, goniły się psy, szalały rozbiegane dzieciaki.

Bonnie starała się otrząsnąć z przygnębienia. W zasadzie powinna być w siódmym niebie. Czego więcej można chcieć? Pogoda piękna, jest wśród przyjaciół, gra muzyka, zapowiada się doskonała kolacja, a u jej boku idzie wspaniała mężczyzna...

Brakowało jej tylko pamięci.

– Wszystko w porządku? – spytał Kurt.

– W jak najlepszym – odparła z bladym uśmiechem. Przecież głupia amnezja nie powinna psuć jej miłego wieczoru! Otrząśnij się, poleciała sobie w duchu.

– Jesteś zmęczona? Chcesz wrócić do domu?

– Wrócić do domu? – Nie miała domu, nie miała nic. Kurt wiedział, że dzieje się z nią coś niedobrego i objął ramieniem, jakby chciał ją podtrzymać.

– Głowa do góry. Wszystko będzie dobrze, gwarantuję ci! Jaki on jest dobry, kocham go, myślała, połykając łzy.

– Zatańczymy? – zaproponował. – Chcę mieć cię blisko. Zadrzała, ale bez słowa pozwoliła wprowadzić się do wielkiego namiotu.

– Ja zupełnie nie pamiętam, jak się tańczy – wyznała, kiedy stanęła na cementowym parkiecie.

– Niemożliwe.. Tylko tak ci się zdaje.

– A może ja nigdy nie umiałam tańczyć?

– Też coś! Przecież wielokrotnie tańczyliśmy. Oprzyj jedną rękę tutaj. – Ujął jej dłoń i położył sobie na ramieniu. – A drugą rękę mi podaj...

Zrobiła, co kazał, i wyczekująco spoglądała mu w oczy. Orkiestra grała smutną balladę.

– Tak, teraz jest dobrze. Poprowadzę cię.

Jego dotyk, muzyka i nastrój zrobiły swoje. Popłynęła wraz z melodią. Czowała się jak Kopciuszek tańczący walca z księciem z bajki. Aż trudno było jej uwierzyć, że spotkało ją podobne szczęście. Ale w bajce trwało to tylko do północy. Kiedy ona odzyska pamięć, księżę spostrzeże, że nie jest wcale słodką dziewczyną, ale jedną ze wstrętnych przyrodniczych sióstr Kopciuszka. I pantofelek nie będzie pasował.

Ciesz się chwilą, nakazywała sobie.

Tuliła się do Kurta, chłonąc upojną chwilę. Ich nogi dotykały się, ich piersi przywierały do siebie. Wyczuwała i słyszała głośne bicie jego serca.

Tańczyła z zamkniętymi oczami, przeżywając każdą sekundę, rejestrując ją w pamięci jako najpiękniejsze wspomnienie na przyszłość. Tej pamięci nigdy nie utraci!

– Może to jednak nie był dobry pomysł – powiedział nagle Kurt.

Podniosła głowę zdumiona.

– Co nie było dobrym pomysłem?

– Taniec z tobą doprowadza mnie do szaleństwa. Chcę cię mieć dla siebie. Chcę być z tobą sam.

– Kurt! – wykrzyknęła poruszona jego słowami.

– Wprawilem cię w zakłopotanie?

Uchyliła się od odpowiedzi, odwracając głowę.

– Uważam, że pożądanego nie należy się wstydzić.

– Jestem taka zagubiona... sama nie wiem...

– Oczywiście, że jesteś zagubiona. Musisz być. Ja też jestem zagubiony. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Gdyby mi przed tygodniem ktoś powiedział, że będę tak z tobą rozmawiał, to bym mu poradził, żeby poszedł do psychiatry. Ale przekonałaś mnie, Elisabeth. Jesteś

zupełnie kimś innym...

– Nie boisz się, że stanę się znowu sobą, kiedy wreszcie odzyskam pamięć?

– Nie. Myślę, że zmiany, jakie w tobie zaszły, są stałe.

– No tak, ale jeśli nie? – upierała się Bonnie. Spojrzał jej w oczy rozmiłowanym wzrokiem.

– Dla ciebie, Beth, gotów jestem zaryzykować.

– Nawet pamiętając krzywdy, jakie ci wyrządziłam? Możesz mi wszystko wybaczyć?

– Muszę – wyszeptał czule.

– Nie, nie! – niemal krzyknęła, wyrwała mu się z objęcia i wybiegła z namiotu.

Słyszała za sobą kroki Kurta.

– Poczekaj, Beth! – wołał.

Stanąła i spojrzała w gwiazdy. Czowała krew napływającą do twarzy, ale zadrżała owiana wieczornym chłodem.

– Nie uciekaj ode mnie! – Kurt stanął przed nią. – Nie uciekaj ode mnie! Nigdy ode mnie nie uciekaj! – powtórzył ochrypłym głosem.

– Proszę cię, Kurt! – Zasłoniła się dłońmi, niby tarczą, i cofnęła o krok. – Nie mogę ci nic obiecać. Nie teraz. Dopiero, kiedy... odzyskam pamięć.

– Przed wypadkiem nie miałabyś najmniejszych skrupułów. Nie obchodziłoby cię, czy traktujesz mnie uczciwie, czy nie. Naprawdę jesteś inna... – Wyciągnął rękę i pieszczotliwie przeciągnął palcami po rękawie różowej sukienki.

Ten prosty gest powiedział jej wiele o jego uczuciach.

– Ale teraz to właśnie mnie obchodzi. Poddam się hipnozie i zobaczymy, co z tego wyjdzie.

– Hej! – Hub podszedł do nich nieświadomy sytuacji. – Idźcie na kanapki z wołowiną z grilla. Są kapitalne.

Za Hubem stała Consuela. Bonnie, zadowolona, że może wykręcić się z niewygodnej sytuacji, zaczęła gratulować Consueli wyróżnienia jej przetworów. Ujęła ją pod rękę i odeszła, zostawiając Kurta z Hubem. Przez resztę wieczoru unikała Kurta, on też nie próbował jej odszukać.

Wróciwszy dość późno na ranczo, Bonnie czuła się kompletnie rozbita. Wiedziała, że trudno jej będzie zasnąć. Jej myśli krążyły wokół Kurta i pytania, czy będzie go chciała, gdy odzyska pamięć.

Idiotyczne pytanie! Oczywiście, że będzie go chciała. On znaczy dla niej wszystko! Jedno spojrzenie w jego oczy wystarczyło, by wiedzieć, że Kurt McNally jest jej przeznaczeniem. A mimo to go zdradziła! Czy wobec tego może sobie ufać?

– Dobranoc! – powiedział Kurt, odprowadzając ją pod drzwi sypialni. Wyglądał na zdezorientowanego i rozbitego.

– Dobranoc – odparła Bonnie.

Nie ruszyli się sprzed drzwi. Słyszeli Huba i Consuelę kręcących się na dole. Kurt nagle strzelił z palców.

– Co takiego? – spytała.

– Nie, nic. – Chciał coś powiedzieć, ale wydusił z siebie tylko jeszcze raz „dobranoc”, obrócił się na pięcie i odszedł.

Rozplakała się. Zamknęła za sobą drzwi i padła na łóżko, chowając twarz w poduszkę. Kiedy wreszcie przekonała Kurta, że nie jest dawną Elisabeth, kiedy zaczął jej wierzyć, kiedy jej znów zapragnął, ona położyła kres wszystkiemu.

Przygnębiona przebrała się w nocną koszulę z cienkiej białej bawełny i wsunęła między prześcieradła. Zamknęła oczy i zaczęła powtarzać: Zaśnij, zaśnij, zaśnij...

Ale pod zaciśniętymi powiekami migały obrazki, na których znajdował się Kurt... To instruuje, jak zrywać brzoskwinie, to siedzi wyprostowany, sztywny i oficjalny przy jej łóżku szpitalnym, to stoi pod drzwiami jej sypialni. Czeka na jej skinienie...

Dość tego! Otworzyła oczy, odrzuciła prześcieradło i wstała. Musi zaczerpnąć świeżego powietrza i przy okazji zebrać myśli. Może uda się znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego zachowuje się tak... jak się zachowuje.

Włożyła nocne pantofle i zeszła na dół. Przez chwilę nasłuchiwała. W domu panowała cisza. Przez frontowe drzwi wyszła na ganek. Zeszła schodkami na podjazd i poszła w kierunku sadu. Przyświecał jej księżyc, któremu do pełni brakowało zaledwie kilku dni.

Witały ją brzoskwińowe drzewa, łagodnie kołysząc pozbawionymi ciężaru owoców gałęziami. Potykała się, gdyż zapomniała okularów. Nie miała pojęcia, dokąd idzie. Wiedziała tylko, że chce spacerować, poruszać się, biegać, mając nadzieję, że uda jej się obudzić uśpioną pamięć.

Poszła wzdłuż białego płotu aż na sam szczyt małego pagórka. Wysoka trawa drażniła jej skórę. Zobaczyła po drugiej stronie niewielkie jezioro srebrzące się w świetle księżyca.

Kurt powiedział, że oświadczył się jej właśnie nad tym jeziorkiem. Chwilę się zastanawiała i doszła do wniosku, że gdzie jak gdzie, ale właśnie na brzegu jeziora ma największą szansę coś sobie przypomnieć.

Ostrożnie zeszła na sam brzeg, pozostawiając odciski na wilgotnej ziemi. Mrok jej nie przeszkadzał ani nie przerażał. Wprost przeciwnie – gwarantował ciszę i spokój, a więc i możliwość skupienia.

Odezwał się lelek, odpowiedziała sowa. Na samym brzegu rosły płaczące wierzby. Skryła się pod jedną z nich. Delikatne wiotkie gałązki omiały ją niby palce duchów. Tuż obok leżał wielki głaz. Usiadła na nim, objęła rękami kolana i wpatrzyła się w nieprzeniknioną wodę.

Kim była? Elisabeth Destiny, aktorką o sercu z kamienia, głodną sławy i fortuny za wszelką cenę, czy też Beth, kobietą, która bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnęła Kurta McNally'ego jako męża i ojca jej dzieci?

– A może zupełnie kimś innym? – powiedziała głośno.

Co zrobiła ze swojego życia? Co Elisabeth Destiny zrobiła ze swojego życia? Czy to da się naprawić? Potarła skronie i westchnęła. Była wściekła na siebie, na świat, na los. W poniedziałek, zgodnie z decyzją doktora Freely'ego, wypada termin seansu hipnotycznego. To jej jedyna szansa. Wszystko lepsze niż ta niepewność.

Usłyszała łamanie gałązki. Przerazona obróciła głowę i w poświacie księżycy dostrzegła czyjąś sylwetkę.

Boże drogi! Przyszłam tu w nocy, zupełnie zapominając o bezpieczeństwie, pomyślała. Przygotowywała się do ucieczki, gdy usłyszała wołanie Beth!” i po paru sekundach poczuła dłoń Kurta na ramieniu.

– Martwiłem się o ciebie! – mówił cicho, głosem uwodzicielskim, który opływał ją, tworząc płaszcz, w którym było ciepło, dobrze i bezpiecznie. – Bardzo się martwiłem.

– Wszystko jest w porządku – odparła, ale głos jej się załamał.

– Kochanie... – powiedział, uniósł z głazu i objął czule.

Wtuliła mu głowę w ramię.

– No powiedz, powiedz...! O co chodzi? Przecież już tyle razy o wszystkim mówiliśmy...

– Nie mogę nic powiedzieć...

– Ależ możesz, przecież to jestem ja, Kurt. Byliśmy zaręczeni, nie pamiętasz?

– Właśnie w tym problem. Nie pamiętam. Nie mogę nic powiedzieć, bo nie pamiętam. Nie mogę planować życia, bo nie pamiętam, co i jak powinnam zaplanować... To okropne, to mnie wprost zabija...

Zaczął ją kołysać w ramionach, niczym dziecko. Potem pocałował w czoło. I znowu zaczął kołysać.

– Kiedykolwiek zechcesz mówić, będę obok – zapewnił serdecznie. – Będę cierpliwie czekał... – Przytulił ją jeszcze mocniej.

Chlipała mu w rękaw, ale była prawie szczęśliwa. A w każdym razie czuła się bezpieczna. Trwało to jednak bardzo krótko, gdyż powróciły wątpliwości i zaczął na nią działać jego męski zapach i wyczuwalne pożądanie.

Gdyby miała choć trochę oleju w głowie, toby się wyrwała i uciekła, gdzie pieprz rośnie, pomyślała. Może zabrakło jej oleju, a może to nogi stały się nagle tak ciężkie, że nie mogła ich oderwać od ziemi. Jakby w nią wrosły. I kolejna fala zadowolenia, że jednak pozostała w jego ramionach, bo jest w nich ciepło i bezpiecznie. W tych ramionach nie trzeba myśleć i nie trzeba martwić się dniem, który nadejdzie.

– Pragnę cię – usłyszała cichy głos Kurta. – Tak bardzo cię pragnę, Beth...

– Nie! – krzyknęła. – Nie, Kurt. Nie możemy... ja nie mogę... Już ci mówiłam, że póki nie wiem, kim jestem, nie mogę ci się oddać... – mówiła płaczliwie. – Czyż tego nie rozumiesz?

– Rozumiem tylko jedno. I nie wiem, dlaczego tak się stało. Rozumiem, to znaczy wiem, że kocham cię, bardziej niż kiedykolwiek wyobrażałem sobie, że mogę kochać.

W innych okolicznościach słowa te wywołałyby jej entuzjizm, a nawet euforię. Ale teraz? Jakże on może mówić o prawdziwej miłości, skoro nie wiadomo, która jest prawdziwą Elisabeth Destiny. Dawna czy ta obecna?

– Sam nie wiesz, co mówisz.

– Wiem. To przecież ty grałaś w kościele, gdy nikt inny nie chciał. Ty pomagałaś w zbiorach brzoskwiń. Ty zdobyłaś sympatię Consueli i Huba, a także zaufanie Tammy i Sarah Jane. Jesteś po prostu dobrą kobietą. – Ujął jej dłoń i pocałował.

Rozpłynęło się gdzieś jej postanowienie trzymania Kurta z daleka.

Posadził ją sobie na kolanach.

– To zupełnie zrozumiałe, że jesteś zdenerwowana i rozstrojona. Chcę ci pomóc w tym trudnym okresie. Pozwolisz mi na to, Beth?

– Tak – szepnęła cicho, obejmując go za szyję i pogrążając się w marzeniu, że czekają ich długie i szczęśliwe lata. Odzyskała nagle humor i nadzieję.

– Zamierzam cię teraz pocałować – obwieścił. Poczowała dotyk jego ust. Z początku delikatny, potem mocny, głodny. Najśłodszy pocałunek jej życia... Straciła oddech i odchyliła głowę.

– O Kurt, Kurt...! – szeptała.

Zatopił palce w jej włosach, przyciągnął ją do siebie, przywarł ponownie ustami, odbierając jej zdolność racjonalnego myślenia. Jednak instynktownie czuła, że nie jest to dobry moment, by całkowicie ulec. Z drugiej strony nie wiedziała, jak ugasić ogień wzniecony jego pocałunkami...

Traciła zdolność obrony. Pojawiło się pożądanie, bawełniana koszula uwypuklała stwardniałe sutki, po ciele przebiegał dreszcz będący zapowiedzią rozkoszy...

– Jesteś niebezpieczną kobietą, Beth. Budzisz we mnie grzeszne żądze – powiedział.

– Nie sądzę, abym stanowiła zagrożenie – odparła. – To raczej ty mi zagrażasz.

– Jesteś śmiertelnym zagrożeniem dla wszelkich moich postanowień. Poza tym odbierasz mi zdolność myślenia o czymkolwiek innym niż ty.

Zaśmiała się, włosy opadły jej na twarz. Kurt sięgnął do guziczka jej koszuli. Zatrzymał na moment dłoń, jeszcze się wahał.

– Czy mam...? – zapytał.

– Tak – padła odpowiedź, chociaż chciała wołać, że nie.

Nieporadnie rozpiął trzy guziczki i rozchylił koszulę, odsłaniając częściowo prężne piersi. Pochylił głowę i zaczął całować ją od szyi w dół...

– Smakujesz słodko – zamruczał i ujął w dłonie piersi.

– Ty też... – zaczęła jęczeć. – Wspaniale, cudownie... Oderwał na chwilę głowę.

– Kiedy dotykam ustami twojej skóry, myślę o truskawkowym torcie z bitą śmietaną.

Ponownie zaśmiała się. Kurt nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Odzyskał Elisabeth taką, jakiej zawsze pragnął! Dobrą, przyjazną, rozkoszną...

Przed sześcioma tygodniami jego życie było ruiną, teraz czuł się, jakby podarowano mu klucz do nieba.

Trzymając ukochaną w objęciach, stoczył się z nią z głazu na ziemię. Śmiejąc się głośno, padli na trawę tuż nad wodą.

– Pragnę cię! Teraz! Tu! – wychrypiął Kurt.

Tylko jęknęła, dając przyzwolenie skinieniem głowy.

– Jeśli masz wątpliwości...?

– Nie mam żadnych wątpliwości – odparła.

Pochylił się nad nią. Dłońmi wędrował po jej ciele, po piersiach, płaskim brzuchu, po

pośladkach, całował przez cienki materiał koszuli.

Wiła się, zachęcając, by robił to dalej.

Podciągnął się na łokciu i rozpiął perłowe guziczki aż do dołu, rozłożył poły koszuli na boki. Leżała całkowicie obnażona, oświetlona blaskiem księżyca. Przyglądał się jej łakomym wzrokiem.

Kurt był przeciwny zamierzonej przez Elisabeth operacji powiększenia piersi, ale ona tego chciała. Uparła się i operację zrobiła, twierdząc, że przyda jej się to w filmowej karierze. Operacja pozostawiła blizny, ale piersi były dużo większe.

Przypatrywał się teraz piersiom Beth i nagle zastygł.

Coś tu nie było w porządku, coś go zaniepokoiło. Właściwie zaniepokoiło go to już w chwili, gdy zabierał Elisabeth ze szpitala. Jej piersi nie były tak duże, jakie powinny być po operacji. Owszem, są ładne, krągłe, twarde i nie za małe, ale po zabiegu były zdecydowanie większe. I nie ma najmniejszego śladu cięć.

Cofnął dłonie i usiadł.

– Co się stało, Kurt? – spytała zaniepokojona. Gorączkowo myślał. W jaki sposób piersi powiększone przez silikonowe wkładki mogą zmaleć?

– Co to za kawały? – zapytał surowym głosem.

– O czym ty mówisz? – Bonnie była wyraźnie zaskoczona i zaniepokojona.

– Czy miałaś drugą operację piersi?

– Nie.

Skąd wiedziała, skoro straciła pamięć?

Najgorsze było to, że mimo gniewu, jaki nim targał, nadal jej pożądał. I to bardziej niż kiedykolwiek jakąkolwiek inną kobietę. Jednakże ostrym głosem zapytał:

– Elisabeth, powiedz mi, co to znowu za kawał? Co ty kombinujesz?

– Ja nic nie kombinuję! – odparła niemal histerycznie, co było uzasadnione, biorąc pod uwagę, z jakiego błogostanu ją wyrwał.

– Psiakrew! – Odtrącił ją i wstał. Oddychał z trudem. A więc przydarzyło mu się to po raz wtóry. Ależ z niego bałwan, jak mógł się dać nabrać?

– Może mi powiesz, o co chodzi?! – krzyknęła Bonnie.

– Tylko mi tu nie płacz, bo nie dam się nabrać na twoje łzy. – Grzbietem dłoni przetarł wargi, jakby chciał pozbyć się smaku jej ust.

Usiadła i wyciągnęła do niego rękę.

– Błagam cię, powiedz, o co ci chodzi?

– Popełniłaś życiowy błąd, zgadzając się udawać Elisabeth Destiny – oświadczył. – Nie mogę uwierzyć, że dałem się na to nabrać! – wykrzyknął. Czuł się okropnie. Nawet zdrada Elisabeth nie była dla niego tak wielkim ciosem.

Bonnie trzęsa się cała i wpatrywała przerażonymi oczami w Kurta, który spacerował wokół niej.

– Powiniennem wcześniej na to wpaść. Miałem przeczucie, że coś jest nie tak, jak powinno.

– Co nie jest tak? Jakie przecucie? Powiedz wreszcie!

– Już na początku to i owo zauważyłem, ale niestety, zlekceważyłem. Jesteś delikatniejszej budowy. Masz doskonalsze rysy twarzy, bardziej wyrafinowane, ale poza tym jesteś wiernym sobowtórem Elisabeth.

– Chcesz powiedzieć, że nie jestem Elisabeth Destiny? – Na twarzy Bonnie odmalowało się zdumienie.

– Możesz przestać udawać. Przejrzałem cię!

– Ja nic nie udaję. Ja naprawdę nie wiem, kim jestem. Przecież ci to mówiłam.

– Niech to diabli! – Nadal chodził w kółko. W pewnej chwili podniósł z ziemi kamień i rzucił do jeziora. – Twoje kłopoty z oczami! Granie na pianinie! To mi powinno było otworzyć oczy. Owinęłaś mnie wokół palca. Nawet twoje prośby, żeby poddać się hipnozie! Jesteś prawdziwą profesjonalistką, moja droga. Gratuluję! Ale ze mnie idiota! – Otwartą dłonią trzepnął się w czoło.

– Ja naprawdę cierpię na amnezję.

Chwyił ją za poły koszuli, podniósł, postawił i zbliżył twarz do jej twarzy.

Zaczęła się wyrywać, ale on nie zwracał na to uwagi.

– Jak spreparowałaś wypadek? Jak oszukałaś lekarzy? Ile ona ci zapłaciła? Mów!

Po policzkach spływały jej łzy wielkie jak groch. Kurt współczuł jej, ale był przeświadczony, że ta kobieta jest współniczką Elisabeth i razem z nią spiskowała przeciwko niemu. I ta kobieta zraniła go, bardziej niż udało się to Elisabeth, ponieważ naprawdę się w niej zakochał.

– Co miałaś z tego mieć? – zapytał oschłym tonem.

– Nie wiem, o czym ty mówisz.

– Chodziło ci o pieniądze? O rozgłos? Elisabeth chciała ponownie wkraść się w moje łaski i wykorzystała ciebie?

– Co ty za androny opowiadasz? Zwariowałeś?

– Może i zwariowałem, bo doprowadziłaś mnie do szaleństwa. Teraz rozumiem cały plan.

– Puścił ją i zacisnął pięści.

– Nie ma żadnego planu. I nie było.

– Owszem, był. Elisabeth zadzwoniła do biura obsad i kazała im wyszukać swojego sobowtóra. Zaaranżowałyście wypadek. Twoim zadaniem było dopaść mnie od czulej strony, zmiękczyć, odpowiednio przygotować, by ona mogła pojawić się na gotowe po tym, jak ja się z tobą ożenię. Taka jest prawda, co? Przyznaj się.

– Nn-nie... – wyjąkała przez łzy.

– Muszę ci pogratulować sprawności, panno... kimkolwiek tam jesteś. Lepsza z ciebie aktorka niż Elisabeth Destiny. Co do tego nie ma wątpliwości.

– Nie grałam żadnej roli...

– Nawet wtedy nie grałaś, kiedy mnie całowałaś?

– Zwłaszcza wtedy.

– Tym samym przyznajesz, że w innych chwilach grałaś?

– Nie! Nie przekręcaj tego, co powiedziałam.

– Hub od samego początku coś podejrzewał. Boże, dlaczego go nie słuchałem? Dlaczego ci zaufałem?

– Kurt, zacznij myśleć racjonalnie. To, co mówisz, nie ma najmniejszego sensu.

– Pragnę jednego! – wykrzyknął ochryłym głosem. – Żebyś jak najszybciej zniknęła mi z oczu!

– Na miłość boską, wysłuchaj mnie! Jestem teraz zupełnie zagubiona. Jeśli nie jestem Elisabeth Destiny, to kim jestem? – Czuła, że nic do niego nie dociera.

– Absolutnie mnie nie obchodzi, kim jesteś – rzucił i zniknął w mrocznej mgle.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zawalił się jej świat. Bonnie nie wiedziała, jak trafiła do domu. Szła na oślep targana bólem. Najgorsze były ostatnie słowa Kurta, które stale brzmiały jej w uszach: „Absolutnie mnie nie obchodzi, kim jesteś”.

Lodowate spojrzenie Kurta zmroziło jej duszę, zniszczyło wszelkie nadzieje. On jej nienawidził bardziej niż owego dnia, kiedy zabierał ją ze szpitala. I to było dla niej jeszcze większym ciosem, ponieważ ubiegły tydzień pokazał, jak wspaniałym człowiekiem jest Kurt.

Bonnie wbiegła po schodach na piętro i wpadła do sypialni, zatrzaskując za sobą drzwi.

Drżącymi rękami otworzyła szuflady komody, wyjęła z nich nieliczne ubrania i wpakowała do dużej torby, którą miała po zakupach. Zerknęła w lustro i zobaczyła, że ma krzywo zapiętą koszulę, oczy opuchnięte i czerwone, włosy zmierzwione.

– Kim ty jesteś? – spytała swego odbicia. – Jeśli nie jesteś Elisabeth Destiny, to kim, do diabła?

Długo czekała na odpowiedź, ale postać po drugiej stronie tylko się w nią wpatrywała.

– Jesteś skończona! – Pogroziła pięścią. Tamta odpowiedziała tym samym.

Zdjęła pantofel i rzuciła nim w lustro. Rozległ się hałas tłuczonego szkła.

– Elisabeth? Czy wszystko w porządku?

Bonnie zaskoczyło pukanie i głos Consueli. Obeszła ostrożnie rozsypane szkło, otworzyła drzwi. Twarz Consueli wyrażała niepokój. Zerknęła za plecy Bonnie i zobaczyła na podłodze odłamki odbijające światło lampy.

– Czy możesz mnie odwieźć do Weatherford na dworzec autobusowy? – spytała bez wstępów Bonnie.

– Aha... pokłóciliście się?

– Czy możesz mnie odwieźć na stację? – powtórzyła pytanie.

– No... chyba tak.

– Dziękuję. – Bonnie podniosła torbę. – Możemy jechać już teraz?

– Tylko powiem Hubowi.

– Wolałabym, żebyś tego nie robiła. – Położyła jej dłoń na ramieniu.

– Co się dzieje, Elisabeth?

– Nie chcę o tym mówić.

– Nie chcesz, to nie. – Consuela chwilę bacznie się jej przyglądała. – Tylko wezmę klucze. Może się jednak ubierzesz.

– Co, co? – Spojrzała na siebie zaskoczona. – Oczywiście. Consuela poszła po samochód, a Bonnie szybko przebrała się w dżinsy i trykotową białą koszulkę. Wzięła torbę i wyszła z pokoju. Na chwilę stanęła przed sypialnią Kurta. Powstrzymała wrywający się z piersi szloch i zeszła na dół.

W samochodzie czekała już Consuela. Bonnie wsiadła. Mimo ciepłej nocy wstrząsały nią dreszcze. Poczła chłód w całym ciele. Dygotała, skuliła się więc, żeby było jej cieplej.

Consuela wyjechała na trakt prowadzący do szosy.

– Porozmawiamy? – spytała głosem pełnym sympatii i lekko dotknęła ramienia Bonnie w geście współczucia.

Tak. Potrzebowała kogoś, komu mogłaby się zwierzyć. Komuś, kto pomógłby jej zrozumieć, co się z nią i wokół niej dzieje. Bo już nic nie rozumiała.

– Ja chyba nie jestem Elisabeth Destiny – wyszeptała.

– Obserwując twoje zachowanie, już od dawna to podejrzewałam – odparła Consuela. – I mówiłam sobie, że to chyba ktoś inny.

– Skąd wiedziałaś? Ja przecież nie wiedziałam. – Bonnie była zdumiona odpowiedzią Consueli.

– Elisabeth to osoba wredna. Nawet gdyby cierpiała na amnezję, nie zmieniłaby się w kogoś takiego jak ty.

– Dlaczego nie powiedziałaś tego Kurtowi?

– A co miałam powiedzieć? Kurt, ona nie jest kobietą, którą ty bierzesz za Elisabeth Destiny? Wyśmiałyby mnie. Pomyślałam sobie, że wcześniej czy później sam dojdzie do tego, że ma do czynienia z kimś innym.

– I doszedł. Tylko że myśli, że ja uknułam to wszystko z Elisabeth Destiny.

– Dlaczego tak myśli?

– Że niby Elisabeth to wykombinowała, chcąc wrócić do niego.

– A po co Elisabeth Destiny miałaby to zrobić?

– Dla pieniędzy. Dla rozgłosu.

– To się nie trzyma kupy. Elisabeth ma górę pieniędzy, a rozgłosu, ile chce.

– Powiedz mu to kiedyś.

– Nie uciekaj. Kurt szybko się zorientuje, że się pomylił. Teraz jest bardzo zdenerwowany i zagubiony.

– Ja też.

– Daj mu czas, żeby ochłonął i pomyślał.

– Nie. Nie byłaś tam, kiedy obrzucił mnie tymi strasznymi oskarżeniami. Nie widziałaś nienawiści w jego oczach. On mi nigdy nie wybaczy i nigdy nie zrozumie.

– Oczywiście, że zrozumie. Tylko że teraz cierpi, myśląc, że po raz wtóry się zawiódł. Ale Kurt ma niespożyte pokłady dobrej woli, rozsądku i miłości do ludzi. Zwłaszcza gdy chodzi o ciebie. Kurt jest człowiekiem sprawiedliwym i nigdy długo nie chowa urazy.

Słowa Consueli nieco uspokoiły Bonnie, ale nie miała zamiaru opierać nadziei na tak kruchej podstawie. A nawet gdyby spełniły się przewidywania Consueli i Kurt by jej wybaczył, to przecież nie mogła liczyć na to, że ją weźmie w ramiona, nie wiedząc, kim ona jest.

– Dokąd chcesz jechać? – spytała Consuela.

– Do Fort Worth.

– Gdzie zamieszkaż?

Bonnie nie odpowiedziała, bo nie wiedziała. Nie miała żadnych planów poza tymi, żeby

czym prędzej opuścić ranczo.

– Masz pieniądze na hotel?

– Nie.

Consuela sięgnęła do torebki. Wyciągnęła sześć banknotów dwudziestodolarowych i podała Bonnie.

– Ja nie mogę brać od ciebie pieniędzy!

– Weź. Będą ci potrzebne.

Racja. Nie miała nawet na bilet autobusowy.

– Oddam ci.

– Doskonale.

– Jestem ci bardzo wdzięczna za to, co dla mnie robisz...

– Wiem, jak to bywa. Sama przeszłam przez niejedno – uśmiechnęła się Consuela.

– Dziękuję, że zechciałaś być mi przyjaciółką...

– Jeszcze się spotkamy – powiedziała Consuela. – Oto dworzec. – Zatrzymała wóz. –

Powodzenia w odnalezieniu siebie!

Bonnie wysiadła i jeszcze raz powtórzyła:

– Dziękuję! – Patrząc w oczy Consueli, przez chwilę nie czuła się tak bardzo samotna.

Kurt kręcił się po stodole, końcem buta wzbijając chmury pyłu. Krążył w kółko jak dzikie zwierzę w klatce.

Niech to diabli, czy jest na tej planecie większy głupiec niż Kurt McNally?

To, co czuł, było stokroć gorsze niż wtedy, kiedy znalazł w łóżku Elisabeth z Grantem Lewisem. Tamtej nocy bowiem z ulgą wykorzystał incydent jako pretekst do zerwania pochopnych zaręczyn.

Tej nocy było zupełnie inaczej. Tej nocy gotów był dać z siebie wszystko, doznał bowiem olśnienia, że oto znalazł miłość, której szukał. Gdy trzymał Beth w ramionach, śpiewała mu dusza. Nigdy niczego podobnego nie doświadczył. Tak, to była najprawdziwsza miłość.

Najprawdziwsza miłość? Chyba kpiny. Jakże można kochać kobietę, której nazwiska nawet się nie zna?

Ale co wspólnego ma nazwisko z promiennym uśmiechem niebieskich oczu, z tym, jak na niego patrzyła? Czy nazwisko określi kobietę, która w tak krótkim czasie przemieniła jego życie?

I wszystko pękło niby bańka mydlana. Spójrzaj prawdzie w oczy, McNally! Jesteś widocznie kimś, komu nie jest pisana miłość. Niebiosy zapewniły ci sukces i pieniądze. To musi ci wystarczyć. Wszystkiego mieć nie można.

Zatrzymał się na środku stodoły i tępo rozglądał dokoła, jakby chciał na własne oczy zobaczyć swoje odlatujące marzenia i nadzieje. Marzenia o żonie, dzieciach...

Jednak gdzieś w głębi duszy pozostało mu nie tyle marzenie, co resztki tej samej nadziei, którą miał zawsze, przebijając się przez życie, zbijając fortunę, prowadząc swe akcje charytatywne...

Beth! Kim ona jest? Czy rzeczywiście spiskowała przeciwko niemu na zlecenie

Elisabeth? A może jest tylko przypadkową ofiarą?

Kiedy oskarżył ją o zdradę, wydawała się zaskoczona i oburzona. Uznał to za popis aktorski, ale teraz . nie był tego pewien. Chciałby wierzyć w niewinność Beth. Bo jeśli była niewinna, nie wszystko jest stracone!

Zrodziły się nowe wątpliwości.

Może Beth, ofiarę amnezji, błędnie zidentyfikowano w szpitalu jako Elisabeth Destiny?

Kurt oparł się o słup podtrzymujący dach stodoły.

Przypomniawszy sobie ostatnie chwile z Beth, jej łzy, pełne bólu błagalne spojrzenie. I własne okrutne słowa...

– Coś ty najlepszego zrobił, McNally? – powiedział na głos.

Musi odnaleźć Beth, porozmawiać z nią i wszystko wyjaśnić. I jeśli się okaże, że nie miał racji, na kolanach błagać ją o przebaczenie.

– Beth! – wykrzyknął, ponieważ nie wiedział, jak inaczej miałby ją wzywać.

Wybiegł ze stodoły i podążył w kierunku domu. W kuchni paliło się światło. Zaczął walić w kuchenne drzwi. Otworzył Hub. Consuela siedziała przy stole.

– Gdzie ona jest?

– Consuela odwiozła ją na dworzec autobusowy – powiedział Hub.

– Dokąd zamierzała się udać?

– Do Fort Worth – odparła Consuela.

– Przecież nie ma pieniędzy. Gdzie chciała się zatrzymać?

– Dałam jej sto dwadzieścia dolarów. Więcej przy sobie nie miałam.

– Kiedy ją odwiozłaś?

– Przed godziną.

– Do licha!

Wyobrazził sobie Beth zziębniętą, idącą bez celu pustymi ulicami Fort Worth, zagubioną... I to jego wina, on ją wypędził okrutnymi słowami. Powiedział, że ma mu zniknąć z oczu!

– Muszę ją odszukać! – oświadczył.

– Jest późno, noc – zauważył cicho Hub.

– Nic mnie to nie obchodzi. Muszę ją odszukać jeszcze dziś. Hub, chyba popełniłem największy błąd swego życia...!

– Jest pani rozluźniona, spokojna... Oczy same się zamykają, powoli...

Powieki Bonnie drgnęły, powolutku zaczęły się opuszczać. Chciała się rozluźnić, ale trawił ją niepokój, czy to się uda. Czy wkrótce będzie już wiedziała, kim jest?

– Proszę oddychać przez nos głęboko, tak, doskonale... I zatrzymać oddech, licząc do czterech. Raz, dwa, trzy, cztery...

Skrupulatnie wykonywała polecenia hipnotyzera. Nie poszła do doktora Freely. Nie chciała, by Kurt odnalazł ją przez neurologa. Nie chciała spotkać się z Kurtem. Postanowiła odzyskać pamięć, wrócić do poprzedniego życia i zapomnieć, że kiedykolwiek słyszała o Kurcie McNally'm. Przez ostatnie dwa dni ukrywała się w taniutkim motelu, wydając resztę

otrzymanych od Consueli pieniędzy.

– Jest coraz lepiej, ciszej, spokojniej. Rozluźnienie, pełne odprężenie... – dochodził do niej jak przez gęstą mgłę głos hipnotyzera.

Bonnie znalazła go na żółtych stronach książki telefonicznej. Był jedynym, który zaryzykował i zgodził się przeprowadzić eksperyment bez opłaty z góry. Przystał na to, że otrzyma honorarium po odzyskaniu przez nią pamięci.

Wiedziała, że nic z tego nie wyjdzie, jeśli całkowicie mu nie zaufa. Musi współpracować, musi za wszelką cenę...! Oddychała wolno, miarowo. Wkrótce poczuła się lekka, jakby unoszona prądem powietrza. Na całym ciele czuła mrowienie.

– No dobrze, teraz powróćmy do wydarzeń sprzed dziesięciu dni... – słyszała głos hipnotyzera. – Ten wypadek... Co sobie pani przypomina?

Wydawało się jej, że wydarzyło się to w piątek po południu. W piątek po południu...?

– Leżę na ziemi... głowa boli...

– A przedtem? Co było przedtem? Coś się wydarzyło, prawda?

– Jest strasznie ciemno...

– Proszę spojrzeć poza ciemność. Co za nią widać?, – Uwaga, uwaga! – krzyknęła i zasłoniła twarz ręką.

– Co to jest? Co pani widzi?

– Deska... deska... leci.

– Świetnie! Niech pani chwyci głęboki oddech.

Bonnie widziała grubą deskę, rozkołysaną, zwisającą z rusztowania. Zdjęła okulary i schowała do torebki, ale deskę nadal widziała. Dlaczego zdjęła okulary?

– Dobrze, a teraz niech mi pani powie, gdzie pani była, nim weszła pani pod rusztowanie. Bo przecież musiała pani pod nim iść. Inaczej deska nie uderzyłaby pani. Niech pani patrzy na deskę i cofa się do tyłu, do tyłu...

Tak, rusztowanie znajdowało się na budynku federalnym przy Throckmorton. Przypomniała sobie nazwę ulicy! I poznała budynek! Ale kim ona jest i co tam robi? Pracuje. Była w pracy!

– Pracuję w śródmieściu – powiedziała.

– Świetnie. I jeszcze głęboki oddech. Gdzie pani pracuje?

– W biurze. W dużym biurze...

– Czy kogoś pani widzi?

Przed oczami pojawiła się twarz Kurta McNally'ego. Starła się ją zmazać. Przecież to nie mogło chodzić o niego. Z trudem pozbyła się niepożądanego obrazu.

– Nic nie widzę – jęknęła.

– Niech się pani skoncentruje...!

– Biuro! To biuro prawnicze Briggs, Harrington i Avis!

– No, jesteśmy prawie w domu. Jest pani prawniczką? Bonnie nagle ujrzała swój komputer. I biurko. Na biurku leżały pisma... Na okładce jednego z nich Elisabeth Destiny! I fotografia Kurta...!

– Nie jestem prawniczką... – I nagle wszystko sobie przypomniała.

Piątek po południu. Paige zapraszają do „Fast Lane”. Paige i ona przeglądają pismo zajmujące się plotkami z wyższych sfer...

– Jestem sekretarką – wyrzuciła z siebie. – Nazywam się Bonnie Bradford. I nigdy, ale to nigdy w życiu nie widziałam i nie poznałam Elisabeth Destiny...!

– Muszę ją znaleźć. Ale jak? Forth Worth to ponad milion mieszkańców. Nawet nie wiem od czego zacząć – powiedział Kurt.

– Wiem, że ją znajdziesz. Nie brak ci pomysłów – odparł Hub.

I Kurt rozpoczął poszukiwania. Krążył po Forth Worth od dwóch dni. Oczywiście był u doktora Freely’ego. Daremnie wypatrywał jej wśród przechodniów.

Kim ty jesteś? – zapytywał w myślach. Gdzie jesteś? Ja cię Kocham!

Po dwóch dniach zrozpaczony wrócił na ranczo.

– Wiem, że całkiem oszalałem – powiedział w rozmowie z Hubem. – Kocham ją do szaleństwa. Teraz jestem tego absolutnie pewien. Co ja teraz zrobię?

– Książę z bajki znalazł Kopciuszka, a graniczyło to z cudem, więc i ty znajdziesz ją – zapewnił Hub. – Wiesz co? Zastosuj metodę księcia.

– To znaczy, co mam zrobić?

– Książę polecił mierzyć pantofelek wszystkim kobietom, które były w odpowiednim wieku. I zawiadomił o swoim zamiarze cały kraj. Beth czyta pisma poświęcone życiu wyższych sfer. Po wypadku znaleziono przy niej takie pismo. Daj w nim ogłoszenie w rodzaju: „Przejrzałem na oczy. Gdzie jesteś, Kopciuszku ukochany?”.

– Niezły pomysł. Zrobię to!

– Bonnie, słuchaj. To niewiarygodne! – Do pokoju wpadła Paige Dutton, trzymając kolorowy tygodnik.

– Jestem bardzo zajęta. Czy to nie może poczekać?

– Nie może. Słuchaj: „Kopciuszku, gdzie jesteś?” – Paige zawiesiła głos i spojrzała na Bonnie, oczekując reakcji.

– No i co z tego?

– Słuchaj dalej: „Twój książę szuka cię rozpaczliwie. Książę szuka sobowtóra E. D., który skradł mu serce”. No i co powiesz?

– Co? – Bonnie zerwała się od komputera. Czy to możliwe? Kurt jej poszukuje?

– Ale to nie koniec – powiedziała Paige. – Jest ciąg dalszy: „Kopciuszku, twój książę błaga cię o przebaczenie i prosi o rękę. Zdaje sobie sprawę, że popełnił ogromny błąd. Jeśli masz odrobinę litości, Kopciuszku, to zadzwoń pod numer 555-9645”. To wszystko. Chyba zemdleję z wrażenia – zakończyła Paige.

Przecież to jest telefon na ranczo, uświadomiła sobie Bonnie. Kurt prosi ją o rękę? To chyba sen. Wyrwała pismo z rąk Paige i sama przeczytała ogłoszenie. Ręce jej się trzęsły, w gardle zaschło.

– Jakie to romantyczne! – Paige klasnęła w dłonie. – Oberwać deską w głowę i złować najlepszą partię w kraju! Szalenie romantyczne. Kiedy wyjeżdżasz, Bonnie, do swego

księcia?

– Nigdzie nie wyjeżdżam. On mnie nie kocha.

– Co ty gadasz za głupstwa? Prosi cię o rękę w piśmie kolportowanym na cały kraj, a ty bredzisz, że cię nie kocha. Czy ty wiesz, ile to ogłoszenie kosztowało?

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Słuchaj, Bonnie, otrząśnij się. Od powrotu chodzisz jak zbity pies. Przecież wiem, że za nim szalejesz...

– Ale on mnie w ogóle nie zna.

– Nie przesadzaj. Przez dziesięć dni mieszkałaś w jego domu.

– Ale on myślał, że jestem Elisabeth Destiny. Nie ma pojęcia, kim jest Bonnie Bradford.

– Więc mu powiedz.

– Nie mogę. Ja na niego nie zasługuję.

– Co znowu?! Jesteś beznadziejna. – Paige postukała się palcem w czoło.

– On spodziewa się kogoś wyrafinowanego, takiego jak Elisabeth Destiny. Jestem biedna, nie mam doświadczenia z mężczyznami, oglądam filmy dla... podniety, rekompensaty. Jakże ja bym mogła zainteresować kogoś takiego jak Kurt McNally.

– Nie wierzę własnym uszom. Dobrze, chcesz być królową idiotek, to sobie bądź. – Paige rozłożyła ręce w geście pełnej bezsilności.

Gdy Paige wyszła, Bonnie usiadła z powrotem do komputera. Ale nie potrafiła skupić się na pracy. Jej myśli zaprzętał Kurt.

Od wizyty u hipnotyzera zdawała sobie sprawę, że nie jest kobietą mogącą zaspokoić intelektualne potrzeby Kurta. Towarzysko była niewyrobiona, nigdy nie potrafiłaby obracać się swobodnie w jego kręgach. Nie znała się na literaturze i nie odróżniała widelca od widelczyka do zakąsek. Kurt szybko znudziłby się nią...

Uroniła kilka łez, pociągnęła nosem i zaczęła stukać w klawisze komputera.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Kurt był zdenerwowany. Poprawił krawat i spojrzał na zegarek. Dochodziła dziesiąta trzydzieści. Lada chwila powinna się pojawić. Odchrząknął i zaczął bawić się ołówkiem. Kazał sekretarce odwołać wszystkie spotkania tego dnia, oczekiwał bowiem wizyty kobiety, którą znał jako Beth.

Ostatnie dni spędził jak w malignie. Otrzymał ponad sto telefonów od kobiet, które chciały być jego Kopciuszką. Ilekroć rozlegał się dzwonek telefonu, serce podskakiwało mu do gardła. Po tych paru dniach był kłębką nerwów.

Wreszcie zadzwoniła poprzedniego wieczoru. Natychmiast rozpoznał jej głos. Zaprosił ją, by następnego dnia odwiedziła go w biurze w Fort Worth. Zamówił trzy tuziny czerwonych róż. Stały teraz na stoliku w kryształowym wazonie obok przewiązanego niebieską wstążką pudełka czekoladek i butelki szampana. W kieszeni marynarki trzymał wyłożone aksamitem pudełeczko od jubilera.

– Panie McNally, przyszła panna Destiny – zapowiedziała przez intercom sekretarka.

– Niech wejdzie. – Wstał z fotela i wyszedł zza biurka. Otworzyły się drzwi i do gabinetu wpłynęła Elisabeth.

– Beth! – wyszeptał. – Tak mi cię brakowało. Nie wyobrażasz sobie, jak mi przykro po tym wszystkim, co powiedziałem...

– Wybaczam ci, Kurt. – Elisabeth podeszła bliżej. Ogarnęła go fala egzotycznych perfum. Zmarszczył czoło.

– Czy to dla mnie? – spytała, wskazując na róże. Mechanicznie skinął głową. Zaczęło go ogarniać przerażenie. Co się dzieje?

– Cieszę się, że wpadło ci do ręki moje ogłoszenie – powiedział.

– Wspaniałe róże, Kurt, dziękuję. – Wąchała je długo.

– A więc odzyskałaś pamięć? Wiesz wreszcie, kim jesteś?

– Nigdy nie miałam pojęcia i nadal nie wiem – odparła.

– Gdzie są twoje okulary?

– Okulary? – Zamrugnęła powiekami, ale szybko dodała: – O, rzeczywiście. Zostawiłam je dziś...

I w tym momencie Kurt McNally wiedział już, że ma przed sobą prawdziwą Elisabeth Destiny, która kiedyś go zraniła. Ale serca nigdy mu nie złamała, zdał sobie bowiem sprawę, że jej nigdy nie kochał. Drogę do prawdziwej miłości pokazała mu dopiero Beth.

– Może skończymy zabawę, Elisabeth. Wiem, że to ty.

– O czym ty mówisz? – zapytała.

– Oszustkę zawsze poznam...

– Ja miałabym być oszustką, kochanie? Jestem autentyczną Elisabeth Destiny. Zapewniam cię. – Roześmiała się.

– Wiem o tym.

– Już dobrze, Kurt. Wiem, że ci mnie brakowało. Inaczej nie poszukiwałbyś sobowtóra. Więc postanowiłam ci wybaczyć. Całe szczęście, że nie podpisałeś ogłoszenia swoim nazwiskiem. Umarłabym ze wstydu. I tak z inicjałów każdy się domyślił, że to o mnie chodzi.

– Podeszła z przyjaznym uśmiechem. – Nie musisz poszukiwać drugorzędnej imitacji, Kochanie, skoro masz mnie. Jestem gotowa puścić wszystko w niepamięć...

Kurt odtrącił wyciągniętą ku niemu dłoń i syknął:

– Wynoś się! Wynoś się w tej chwili! – Ogarniała go niepokonana wściekłość.

Twarz Elisabeth zastygła. Próbowwała jednak ratować sytuację. Grożąc mu żartobliwie palcem, zapytała:

– Czy tak się powinno traktować damy?

– Z pewnością nie. Ale w tym pokoju nie widzę żadnej damy! – Z trudem opanował się, by nie wyprowadzić jej siłą z gabinetu.

Elisabeth zimnym wzrokiem obrzuciła stolik.

– No, no! Róże, czekoladki, szampan. Może masz tu jeszcze gdzieś pierścioneł? I może zamierzasz zabrać ją nad to jezioro, gdzie mi się oświadczyłeś, i uklęknąć tam w trawie...?

Z kamienną twarzą podszedł i niemal ryknął:

– Wynoś się i nigdy nie wracaj, bo cię poszczuję psami! Zaśmiała się sztucznie, podeszła do drzwi i odwróciła się, żeby rzucić na pożegnanie:

– Przyleciałam do Fort Worth i przysłam tu tylko dlatego, że akurat się nudziłam. Pomyślałam sobie, że jeszcze nigdy nie grałam roli Kopciuszka. Ale wszystko zepsułeś. Baw się więc sam. – Zatrzasnęła za sobą drzwi.

Kurt wrócił za biurko i popatrzył na róże.

– Panie McNally? – odezwała się przez intercom sekretarka.

– Panna Destiny jeszcze tam jest?

– Nie, poszła sobie.

– Więc o co chodzi?

– Na drugiej linii jest telefon. Dzwoni Paige Dutton. Mówi, że wie, kim jest Kopciuszek.

– Dziękuję. – Podniósł słuchawkę. – Kurt McNally, słucham.

– Pan dał to ogłoszenie?

– Tak, to ja. Zna pani Kopciuszka, o którego pytam?

– To moja przyjaciółka. Pracujemy razem...

– Gdzie ona jest? Kim ona jest? – Radość zalewała mu serce. – Niechże pani mówi! I dlaczego ona sama nie zadzwoniła?

– Wszystko panu powiem, niech mi pan tylko pozwoli dojść I do słowa. Przemawiałam jej do rozumu, ale ona mnie nie słucha. .. Trzeba znać Bonnie, żeby to zrozumieć. Bonnie! Jakie śliczne imię. I jak do niej pasuje!

– Czy pan mnie słucha?

– Słucham, niech pani mówi.

– Bonnie odzyskała pamięć...

– Ale czy zapamiętała mnie?

– Tak... – Paige zawahała się.

– No i...? – popędzał ją Kurt.

– Ona uważa, że nie jest dobra dla pana. To strasznie głupie, prawda? Przecież jak się kogoś kocha, to nie jest ważne, czy ten ktoś jest biedny albo skromny i cichy. Prawda?

– Gdzie ona jest, gdzie ją mogę znaleźć?

– W pracy.

– Gdzie w pracy?

Paige podała mu adres. Tylko trzy przecznice od jego biura!

– Dziękuję pani, panno Dutton!

– Zrobiłam to dla Bonnie. Najwyższy czas, żeby sobie znalazła dobrego chłopca...

Kurt odłożył słuchawkę nawet się nie pożegnawszy. Chwycił bukiet i czekoladki, sekretarce obwieścił, że wychodzi, i pobiegł do windy.

Bonnie, Bonnie, Bonnie – biło mu serce.

Wybiegł z windy, popędził przez hol na ulicę. Biegł jak szalony, roztrącając ludzi i nie bacząc na nic. Wiedział tylko, że musi jak najszybciej ujrzeć kobietę, którą kocha, prosić o przebaczenie, błagać, by została jego żoną. W oczach musiał mieć obłęd, gdyż przechodnie przystawali i ciekawie mu się przyglądali.

Zdyszany wpadł do budynku wskazanego mu przez Paige Dutton.

Kiedy zjechała jedna z wind, Kurt wsiadł i nacisnął guzik. Zaraz zobaczy Bonnie, zaraz zobaczy Bonnie...!

Idąc korytarzem, patrzył na tabliczki na drzwiach. Wszedł do recepcji firmy prawniczej.

– Czym mogę panu służyć? – spytała recepcjonistka.

– Chcę się widzieć z panną Bonnie Bradford.

– Jest zajęta. Pracuje z panem Briggsem. Może zostawi pan wiadomość?

Na drzwiach za recepcjonistką zobaczył tabliczkę z nazwiskiem Briggs.

– Nie, dziękuję. Wpadnę do gabinetu pana Briggsa i wyciągnę ją stamtąd.

– Pan nie może, proszę pana...! – Recepcjonistka zerwała się przerażona.

– Zaraz pani zobaczy, że mogę. – Mrugnął porozumiewawczo. Szybko przeszedł parę zdecydowanych kroków i otworzył drzwi gabinetu szefa firmy.

Za biurkiem siedział starszy mężczyzna i dyktował coś Bonnie. Słyszając otwieranie drzwi, spojrzał zdziwiony.

Bonnie nadal pochylała się nad kartką, blond włosy opadały jej na plecy. Jeszcze nie zauważyła Kurta.

– Słucham pana? – odezwał się pan Briggs.

– Nazywam się Kurt McNally i muszę wpilnej sprawie porozmawiać z pańską sekretarką!

– Kurt McNally! Słyszałem o panu. Finansowy geniusz i filantrop! – Na twarzy Briggsa malował się szacunek.

– No cóż, przyznaję się do grzechu – odparł z uśmiechem Kurt. Widział, jak na dźwięk jego głosu ręka Bonnie zawisła w powietrzu. Teraz zaczęła powoli odwracać głowę. Spojrzenia ich spotkały się i serce Kurta zadrżało.

– Czy to państwu zajmie dużo czasu? – spytał z uśmiechem pan Briggs, wstając z biurka.

– To zależy od Bonnie – powiedział Kurt, nie odrywając od niej oczu.

– Daję pani pięć minut – zdecydował pan Briggs, stukając palcem w szkiełko zegarka.

– Może jednak lepiej dziesięć – zaproponował Kurt.

Pan Briggs skinął głową i wyszedł z gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

– Co... co ty tu robisz? – wyjąkała Bonnie.

Podał jej bukiet i czekoladki. Odłożyła prezenty na bok i cicho wyszeptwała:

– Dziękuję.

– To jeszcze nie wszystko. – Przyklęknął na jedno kolano i wyjął z kieszeni pudełko. – Bonnie Bradford, proszę cię o rękę. Pragnę cię pojąć za żonę.

Stała i patrzyła urzeczona. Miała wrażenie, że ogląda scenę z filmu z udziałem Elisabeth Destiny.

– Wyjdź za mnie, Bonnie.

Kurt otworzył pudełeczko. Zamigotał wielki diament.

– Kocham cię...!

Wstał i ujął jej dłoń. Bonnie opadła na krzesło. Wyrwała rękę i położyła na kolanach. Kręciło się jej w głowie. Ile czasu czekała, by usłyszeć słowo „kocham”? Ale teraz nie była jeszcze gotowa, by rzucić się w objęcia mężczyzny, który je wypowiedział. Musi się najpierw upewnić, czy jest to miłość, czy tylko emocje wynikające ze wspomnień i nie spełnionych nadziei związanych z inną kobietą. Nie ma zamiaru żyć w cieniu tamtej.

– Nie mogę za ciebie wyjść – odparła. Spojrzał na nią przerażony.

– Nie kochasz mnie?

– Kocham cię całym sercem! – wykrzyknęła.

– No, więc o co chodzi?

– Przecież ty mnie wcale nie znasz. Pojęcia nie masz, kim jestem.

– Doskonale wiem, kim jesteś! Jesteś najlepszą, jaką sobie można wyobrazić, i najuczciwszą kobietą na świecie. Nie ma takiej drugiej. Bonnie Bradford, jesteś kobietą, jakiej szukałem . całe życie!

– Myślałeś, że jestem Elisabeth Destiny...

– Głupia pomyłka!

– Ale ty kochasz właśnie ją. Kurt roześmiał się głośno.

– Dlaczego się ze mnie śmiejesz? – spytała urażona.

– Nie z ciebie, kochanie... – Ponownie ujął jej dłoń. – Ja tamtej kobiety nie znoszę. Pogardzam nią. Była dziś u mnie w biurze, udając, że jest tobą. Przeczytała moje ogłoszenie. Bardzo szybko ją przejrzałem...

– Naprawdę była? I wiedziałeś, że to nie ja?

– O tak, Bonnie. Nikt nie pachnie tak jak ty. Truskawkami . z kremem. Kiedy trzymam cię w ramionach, wiem, że jesteś prawdziwą istotą, a nie manekinem z plastyku. Ty jesteś kobietą, którą kocham, panno Bonnie Bradford! Ale jeśli koniecznie chcesz, możemy

przedłużyć okres narzeczeństwa, żebyś mogła się przekonać.

– Jestem biedna jak mysz kościelna. Nie jestem wytworną damą. Nie potrafię obracać się w wielkim kwiecie...

– Wszystko to nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia.

– Jesteś pewien?

– Jestem pewien. Chcę, żebyś dzieliła ze mną życie. Chcę mieć z tobą dzieci. Chcę się przy tobie starzec. Powiedz „tak”, Bonnie, a zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby uczynić cię szczęśliwą!

Jaka kobieta potrafiłaby oprzeć się takim oświadczeniom? Bonnie patrzyła w brązowe oczy Kurta i pomyślała to samo, co wówczas, gdy wszedł do szpitalnego pokoju. To jest mężczyzna dla niej! To był yang dla jej yin. Wreszcie znalazła życiową przystań.

Poczuła radość, jakiej jeszcze nigdy nie doświadczyła. A to, co ją spotyka, jest wspanialsze od najwspanialszej sceny filmowej.

– Wobec tego mówię „tak”. – Wstała i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Bonnie, będziesz najszczęśliwszą kobietą na ziemi! Stali spleceni w uścisku. Kurt całował jej policzki, oczy i brodę.

Westchnęła z ulgą. A już myślała, że go straciła...

Wreszcie usta ich spotkały się i na długo zastygły w namiętym pocałunku. Bonnie była w siódmym niebie.

– Jestem absolutnie pewien, mój Kopciuszku, że pantofelek pasuje – stwierdził, gdy oboje nabierali oddechu.

– Doskonale pasuje – przyznała.

– A jak głowa?

– Już nie boli.

– Odtąd musisz bardzo uważać, żeby nie uderzyła cię żadna spadająca deska. Mogłabyś zapomnieć o mnie...

– Zaraz, zaraz, zawodzi mnie pamięć... Jak pan się nazywa?

– Książę z bajki. To może bardzo łatwo zapamiętać nawet osoba stuknięta...